7 DNI

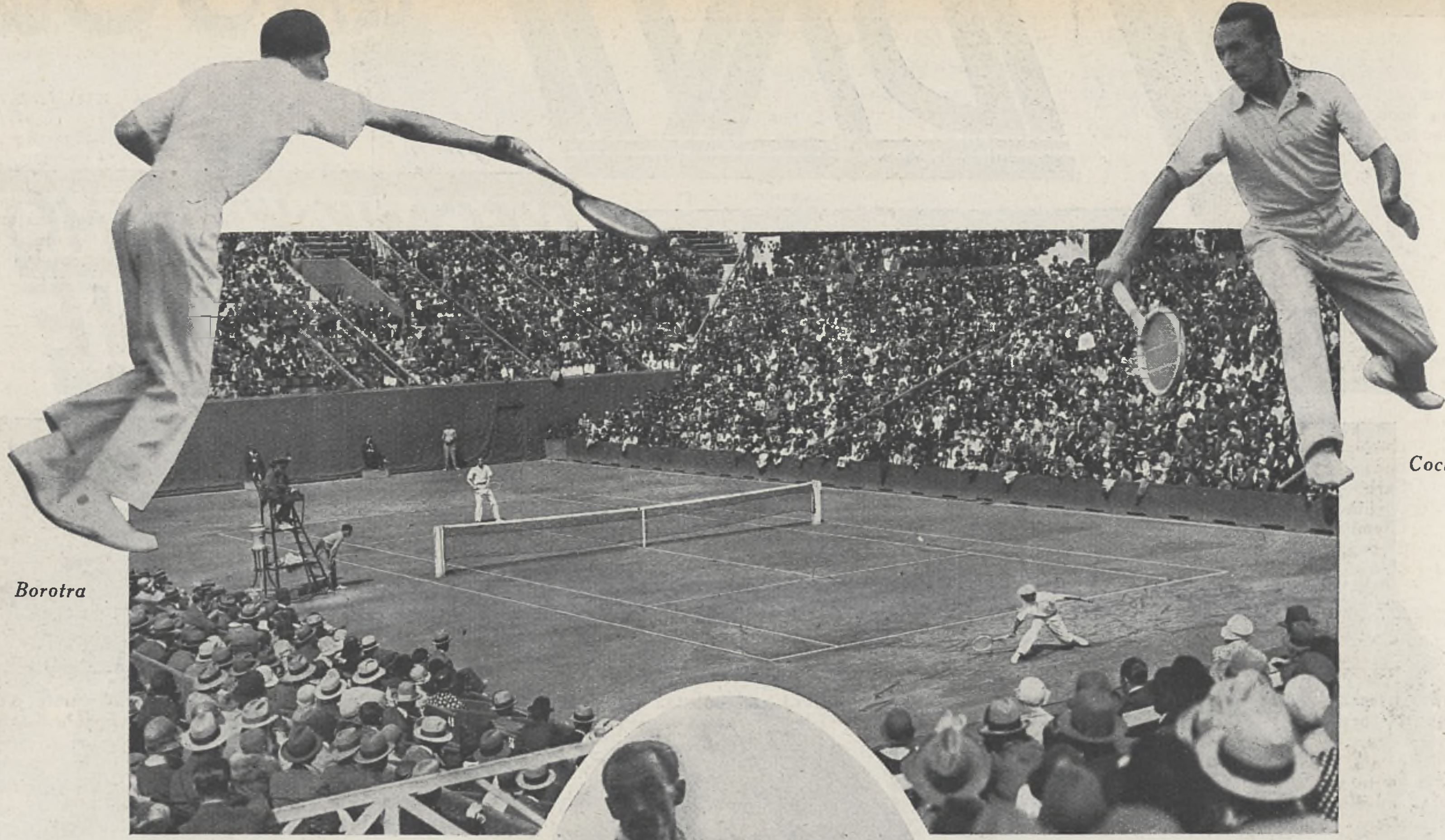
CENA 50 GR

Nakład 30.000 egzemplarzy.

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



KTÓRA ZWYCIĘŻY? (fot. Metro).



Borotra

Cochet



Loth

Nagroda o puhar Davisa

Turniej o puhar Davisa jest jednym z najważniejszych ewenementów sportowych, jakie rok rocznie, od 1900 r. rozgrywają się na świecie. Ścierają się tu ambicje nietylko narodów, ale i kontynentów — Ameryki i staruszki Eurouy, to też statut tego turnieju jest opracowany z dokładnością godną najważniejszego traktatu politycznego.

Pominiemy samą technikę organizacji zawodów, która może interesować tylko tenisistów, historja natomiast nastręcza nam szereg ciekawych szczegółów, począwszy chociażby od samego objektu, ofiarowanego przed 30 laty przez wybitnego gracza i inicjatora zawodów, p. Davisa, (obecnego podsekretarza U. S.) — srebrnej, bardzo brzydkiej, notabene, wazy.

— Gdybym był wiedział, że sprawa urośnie do takich rozmiarów — mówi p. Davis — to byłbym z pewnością wykosztował się na złoty puhar...

Bo istotnie, w pierwszym roku rozpoczęcia zawodów, t. j. w r. 1900 chodziło zaledwie o rozgrywkę pomiędzy Ameryką, a Anglją, jakoże palma pierwszeństwa w grze tenisowej słusznie należała się jedynie tym dwum narodom. Dziś natomiast w zawodach bierze udział trzydzieści trzy narody i dwukrotnie już francuscy zawodnicy zdobyli puhar.

Pierwsze spotkanie rozegrało się w Longwood w r. 1900. Ze strony Anglji stawali: Gore, Ropper Barrett i Black, ze strony Ameryki — Dwight Davis, Holcombe Ward i Malcolm D. Withman Stany Zjednoczone zwyciężyły 5:0.

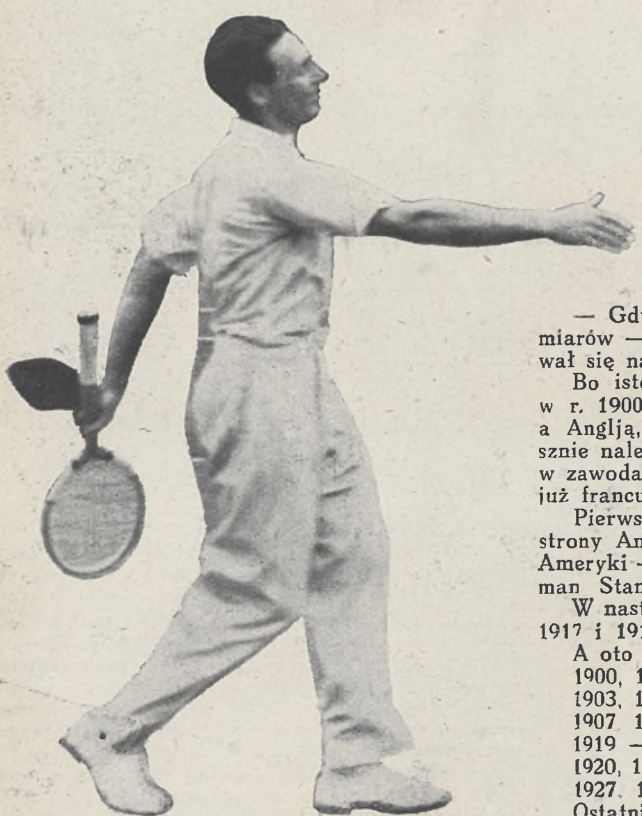
W następnym roku match nie odbył się. W latach 1915, 1916, 1917 i 1918 również nie było rozgrywek.

A oto lista zwycięstw w chronologicznym porządku:

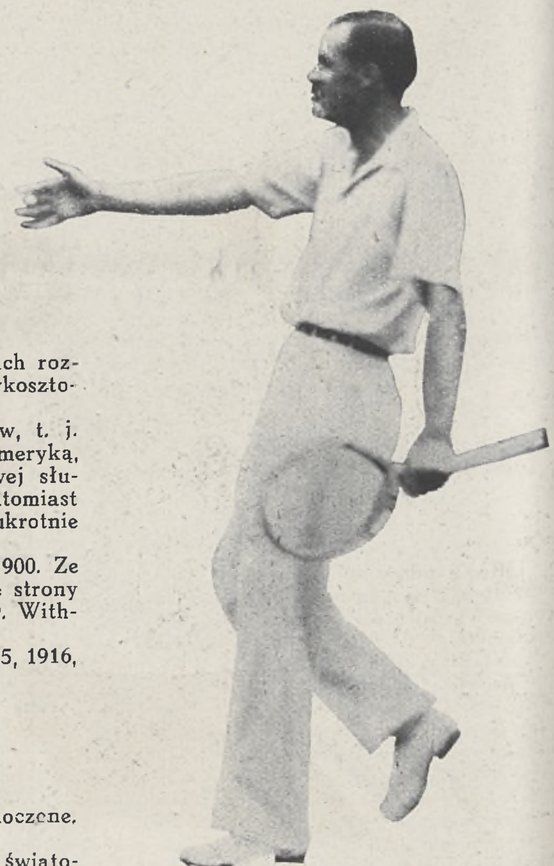
1900, 1901, 1902 — Stany Zjednoczone.
1903, 1904, 1905, 1906 — Anglja.
1907 1908, 1909, 1910, 1011 — Australja.
1919 — Australja.
1920, 1921, 1922, 1923, 1924, 1925, 1926 — Stany Zjednoczone.
1927. 1928 — Francja.

Ostatnie te zwycięstwa wysunęły na czoło mistrzów światowych dzielnych Francuzów — Lacoste, Borotra, Cochet i Brugnon, przyczem Francuzi już w ciągu kilku lat, poprzedzających swe znakomite sukcesy zadali niezwyciężonym Amerykanom dotkliwe klęski. Do takich wypadków zaliczyć należy spotkanie René Lacoste'a z W. T. Tildenem, w którem Francuz osiągnął wyniki 4/6, 6/4, 8/6 i 8/6; w roku 1928 W. T. Tilden został pobity przez Lacoste'a w stosunku 6/1, 4/6, 4/6, 6/2 i 6/3, a przez Cochet'a — 9/7, 8/6, 6/4.

Klasa naszych zawodników nie pozwala nam myśleć narazie o zwycięstwie — chociaż, kto wie, rzecz to bowiem nie tyle zbiorowego treningu, ani materjału, którym się rozporządza, lecz indywidualnego talentu...



Borotra



Tilden

Si vis pacem...

Wojna chemiczna daje narodom bardziej kulturalnym w technicznem i naukowem znaczeniu tego słowa broń doskonałą, która pozwoli narodom umiejącym ją stosować, osiągnąć wszechświatowe zwierzchnictwo — a może nawet panowanie nad całym światem.

Oto dosłowne brzmienie publicznego oświadczenia, które dr. Wansilian złożył na łamach prasy berlińskiej...

I nawiązując do tych słów zajmiemy się sprawą gazów, mogących być zastosowanemi w przyszłej wojnie.

Przeglądając prasę i literaturę niemiecką, stwierdzić można rzecz niezmiernie charakterystyczną: okazuje się bowiem, iż autorowie niemieccy opisujący działania gazów bojowych, winę użycia tych środków przypisują francuzom i anglikom, natomiast prawie zmilczają o pracach, prowadzonych przed i po wojnie w Instytucie Cesarza Wilhelma oraz w Instytucie Fizyko-Chemicznym, a zupełnie nie mówią o pracach t. zw. I. G.

Te dwie tajemnicze litery oznaczają Interessen Gemeinschaft, czyli Zjednoczenie Producentów Barwników. Z fabryk I. G., nawiasem mówiąc, posiadającego światowy monopol produkcji barwników, pochodzą pierwsze próbki gazów bojowych.

Do I. G. należy siedm olbrzymich zakładów zorganizowanych w zjednoczenie, na krótko przed 1870 rokiem. Poniżej podana tablica do nam wyobrażenie o mocy tego „nadprzemysłowego" związku.

	Kapitał w 1914 r.:	Kapitał w 1924 r.:
Hochster Fabriken	50	175
Badische Anilin Soda Fabrik	54	175
Farbenfabriken Bayer et C-o.	54	175
Berliner Aktien Gesellschaft	19.80	59.50
Chemische Fabriken Griescheim	16	14
Chemische Fabriken Weiler-Teer-Meer	8	15.45
L. Casella et C-o	25	38.86
Razem	226.80	675.94

Widzimy z tej tablicy, iż kapitał tych 7-miu przedsiębiorstw osiągnął już dzisiaj 675 miljonów marek w złocie, co wedle kursu obecnego stanowi 3 miljardy 300.000.000 franków. Wszystkie te wytwórnie przekształcone zostały w pierwszym dniu wojny na fabryki amunicji i można było tego dokonać bez straty czasu potrzebnego dla obmyślenia i udoskonalenia nader ważnych przyrządów.

Osiągnięte stąd zarobki były tak olbrzymie, iż obecnie wszelkie koszta instalacji tych fabryk zostały całkowicie zamortyzowane, dzięki czemu wytwórnie te mogą zwycięsko współzawodniczyć z cenami ustanowionemi przez inne fabryki całego świata świeżo założonemi lub rozszerzonemi. Słusznie wykazał mjr. Lefebvre w książce swej p.t. „Zagadka Renu" iż ugrupowanie to, wielka „Interessen Gemeinschaft" niemiecka, najrozleglejsze przedsiębiorstwo wytwórcze całego świata w chemji organicznej, wyszło z wojny z siłą zwiększoną i odnowioną.

Wiemy, iż Unja ta, potężna już przed 1914 rokiem nie znosiła współzawodnictwa i starała się wszędzie zachwycić monopol, dozwalający istnieć czasem wytwórniom, założonym gdzieindziej, lecz zawsze pod jej natrętną kontrolą i zgodnie z jej planami.

Postępowanie takie, jak się o tem przekonaliśmy zbyt późno niestety, dyktował jej interes nietylko czysto ekonomiczny Towarzystwa, lecz również bezwątpienia, najgorszy egoizm cesarskiej polityki niemieckiej.

Major Wiktor Lefebvre napisał te słowa, dotyczące I. G., które również powinny zwrócić uwagę na siebie tych wszystkich Polaków, którzy troszczą się o przyszłość Polski.

„Streszczając to wszystko, co rzekliśmy o czynności i niewyczerpanych środkach I. G. stajemy w osłupieniu i jakby przygnieceni olbrzymią siłą tej instytucji tak pod względem broni zaczepnej, jak i odpornej. Rozgałęzienia jej przedwojenne zapanowały nad światem całym w ten sposób, iż monopolizowały one wytwórczość produktów, mających ogólne żywotne znaczenie w czasie pokoju. I. G. była jakby krwią żywą Niemiec wojowniczych.

Nie łudźmy się. I. G. zorganizowane jest w czasie pokoju w taki sposób, iż dzięki swej wzrastającej działalności ekonomicznej rozporządzać może olbrzymiemi i licznemi środkami dla prowadzenia wojny, tej wojny doby jutrzejszej, całkiem naukowej, przy pomocy której Niemcy, niepamiętni swej porażki, mają nadzieję osiągnąć zwycięstwo. Dlatego też od chwili zawarcia pokoju laboratorja nie próżnują.

Od czasu do czasu dowiadujemy się z gazet, iż przy wyrobie pewnych nowych gazów, zginęła pewna ilość robotników, jak to miało miejsce np. w laboratorjum w Dreźnie w r. 1924. Zdaje się, iż przygotowania do technicznego i wojskowego odwetu prowadzi się w znacznej części w socjalistycznej Saksonji. Dowiedzieliśmy się również, iż w październiku 1924 r. wybuchła jakaś tajemnicza epidemja w w Prusach Zachodnich, której uległa prawie cała wioska Haff. Zauważono falę gazową, która ciągnęła się wzdłuż całego wybrzeża, unosząc się nad powierzchnią wody i pokład miała około 50 cm. grubości. Choroba jaka wybuchła w tej wsi, przypominała w sposób zadziwiający te, jakie powodują zatrucia gazami bojowymi na froncie.

Możnaby też przytoczyć inne spustoszenia poczynione przez gazy trujące, lecz nie uprzedzajmy faktów. Pomimo wszystkich klauzul traktatu wersalskiego nie możemy zabronić uczonym niemieckim pracować w tajemnicy swych laboratorjów nad wynalezieniem tych strasznych narzędzi zniszczenia.

Si vis pacem, para bellum...

Polska oświata we Francji

(Własna korespondencja z Lille).



Doroczny zjazd nauczycielstwa polskiego w Lille.

Lille... północ Francji... stosunki polityczne współpraca, polskość wychodźtwa, asymilacja, trud pracy o polskość dzieci, oto wspomnienia, które za lat 10 lub 15 przebiegać będą przez myśl wielu polaków naszego pokolenia na samo wspomnienie o mieście Lille. Rozsiadła się też w jego okolicach największemi skupiskami masa narodu polskiego, szukająca chleba u obcych. Najzdrowsza część społeczeństwa polskiego, najbardziej przedsiębiorczy element emigracji tu właśnie, w okolicach Lille się skupia. Jego to wpływy po latach wielu żłobić będą niewątpliwie łożysko dziejowych przeznaczeń naszego i francuskiego narodów. Od tego, jak wejdziemy do psychiki miejscowego społeczeństwa, zależeć będzie w dużej mierze z czasem czynny stosunek francuzów do naszych państwowych potrzeb. Jeżeli wejdziemy do ich psychiki, jako narów pełen wartości kulturalnych, ekonomicznych i politycznych, to co utrwalimy w przyszłości stosunek do kraju oaprty na zaufaniu i poszanowaniu. Rozważania powyżej ujęte mają na celu podniesienie spraw nie obecnego pokolenia, lecz pokolenia przyszłego i ukształtowania się stosunków w przyszłości, to też mam na myśli troski jakie powinny przesuwać się w myśli każdego polaka odnośnie do tych rzesz młodego pokolenia, wychowujących się na obczyźnie, tych rzesz, które niebawem wejdą w życie, nie związane niczem z krajem rodzinnym, ani otoczeniem, ani urodzeniem, ani też wspomnieniami.

Myśli te przyświecały uczestnikom niedawno odbytego 6-go zjazdu nauczycielstwa, pracującego na obczyźnie. Najbardziej poważne zebranie, jakie sobie można wyobrazić na obcym terenie! Na czoło zagadnień oświatowych na wychodźtwie wysunięto najbardziej autorytatywny czynnik, jakim jest w pracy nauczycielstwa, sprawa przysposobienia społecznego młodzieży w Kołach Młodzieży Robotniczej. Działania tych Kół i program pracy zastąpić ma te wszystkie walory, jakie daje w kraju szkoła i otoczenie. Praca to olbrzymia i piękna, wymagająca natężenia całego umysłu i ducha, wymagająca oparcia o społeczeństwo w kraju.

Jest wielki czas, aby wszyscy, co myślą poważnie o losie emigracji, uznali postulat wychowania młodzieży za postulat naczelny. Czas już pomyśleć o tem konkretnie i czas już wielki na czyny w tej pracy.

Janusz Wiącek.

W. DOROSZEWICZ.

Szalapin w „la Scala"

(Wspomnienia z przed 25-ciu lat).

Zastałem Medjolan, naturalnie artystyczny Medjolan, w stanie ogólnego podniecenia. W słynnej galleria Vittore Emmanuele, na tej giełdzie artystów operowych, w redakcjach pism teatralnych, których tu jest do piętnastu, w ajencjach teatralnych, których jest do dwudziestu, wszędzie tylko słychać było:

— Scialapino.

Liczni Mefista, Rigoletta, augurowie gwałtownie się burzyli, giestykulowali:

— To skandal! Licho wie co! Tego jeszcze nie było!

— 10 występów gwarantowanych! Po 1.500 franków za występ! — grzechotał bas, całkiem tak, jakgdyby go we własnej osobie rabowali.

— O, Madonna santissima! O, Madonna santissima! dostawał skurczów tenor.

— Franków 15.000, a nie lir! Różnica między frankiem a lirem wynosiła wtedy 5 groszy.

— O mamma mia! Mamma mia!

— Ale czego panowie właściwie tak się denerwujecie? — pytałem znajomych śpiewaków. — Wszak to nie pierwszy rosjanin, występujący w „Scala".

— Owszem, ale dawniej to była rzecz zupełnie inna. Do nas przyjeżdża dużo hiszpanów, greków, polaków, rosjan. Oni uczą się we Włoszech, śpiewają w naszych teatrach i wreszcie osiągają najwyższy zaszczyt i występują w „Scala". Ale zapraszać na występy gościnne artystę opery moskiewskiej! To rzecz niesłychana! Skandal! *)

— 10 lat nie wystawiano „Mefista" — wylewał mi swe żale inny bas — bo nie mieliśmy odpowiedniego wykonawcy. A tu ot ci znalazł się taki w Moskwie! Cała „galleria" pełna jest Mefistów. Hańba nam wszystkim! Hańba całej Italji!

Tę dziwną dyskusję dosadnie zakończył mój przyjaciel — Włoch.

— Mefisto to nie moja rola. Mnie ten wasz Szalapin nie konkurent, ale coby pan powiedział, gdyby jednego pięknego poranku zaczęto importować do Rosji pszenicę?

Było dość niemiło. W artystach odezwali się rzemieślnicy.

— Jego wygwiżdżą! — Krzyczeli italowie, wymachując pięściami. Jego wygwiżdżą.

— A jakże! — demonicznie uśmiechali się inni. 15.000 franków! Ma z czego zapłacić klace. Wypcha całą salę klakerami.

— Jest to zupełnie obojętne. Publiczność go wygwiżdże.

— Trzeba wygwizdać i dyrekcję i Boito, poco pozwolili na to!

Początek nie wróżył nic dobrego. Na domiar złego wybuchł skandal „bez przykładu w teatralnych dziejach Włoch".

Do małżonki Szalapina, kiedy ten był w domu nieobecny, zjawił się p. Marinetti. „Sam" Marinetti, podpisujący się na listach do artystów:

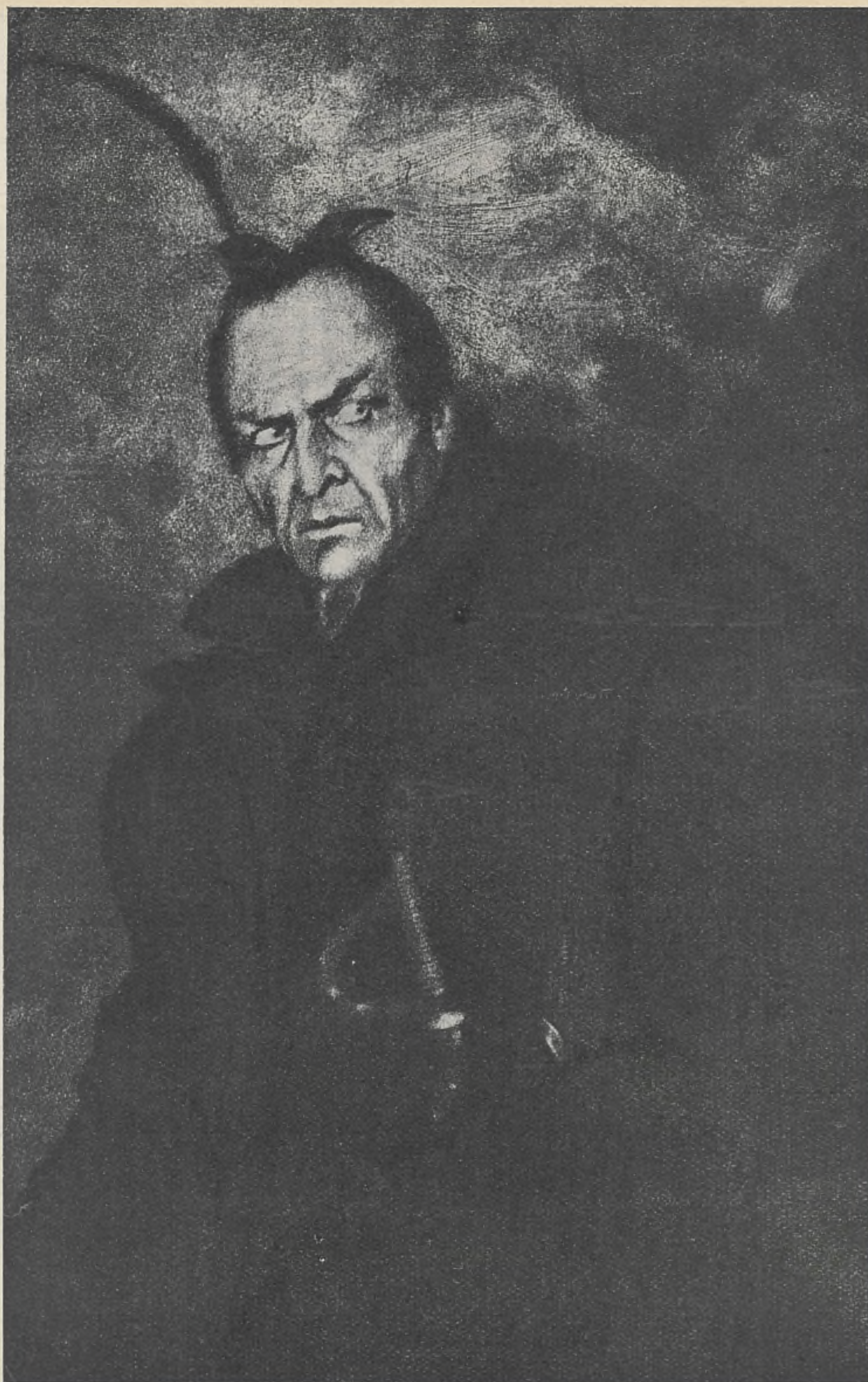
Marinetti et Co...

Szef klaki medjolańskiej, bez usług którego nie może obejść się *żaden* artysta. Tę bandę, artyści zowią „ladri in guanti gialli", „szubrawcy w żółtych rękawiczkach", niena widzą ich i płacą.

Gentleman w żółtych rękawiczkach wyłuszczył swoje warunki:

— Pani mąż zapłaci nam od każdego przedstawienia tyle a tyle set franków. Wtedy może mieć powodzenie. W przeciwnym razie... Więc czekam na odpowiedź, do jutra. Ukłony najniższe Pani sławnemu małżonkowi.

*) Ten „skandal" dział się na początku artystycznej karjery Szalapina, blisko 25 lat temu.





Szalapin w rolach Borysa Godunowa i Mefista.

Nazajutrz w jednej z wielkich gazet medjolańskich ukazał się list Szalapina:

— Zjawił się u mnie jakiś szef klaki i proponował kupić oklaski. Ja nigdy oklasków nie kupowałem, zresztą to nie jest w obyczajach naszej ziemi. Ja przyniosłem tu na sąd publiczności moje artystyczne dzieło i pragnę nieskrępowanego wyroku publiczności: zasługuje ono na uznanie lub nie. Mówią mi, że klaka jest obyczajem kraju. Temu obyczajowi nie mogę i nie chcę być posłusznym. Według mnie, jest to zwykły bandytyzm.

Pokłócił się z Marinettim! Ta wiadomość z niezwykłą szybkością rozniosła się po całym świecie artystycznym. W „galleria" za wszystkiemi stolikami huczało jak w ulu:

— Sam siebie zarżnął, zwarjował!

— O dio mio! Włamał się biały niedźwiedź i obala cudze obyczaje!

— Marrinetti tego afrontu nie przebaczy, nie przebaczy. Co oni z nim zrobią, co zrobią!

Znajomy rosjanin, uczący się tu u jednego z profesorów śpiewu, błagał mnie bym poradził Szalapinowi ogłosić się chorym i zawczasu porzucić Medjolan, przynajmniej obejdzie się bez skandalu i kompromitacji licznej kolonji rosyjskiej.

— Marini, Tamagno zachowali obyczaj i płacili.

— Ale publiczność! publiczność — próbowałem oponować.

— E, co tam publiczność! Zimna publiczność premjery Pozatem jest ona rozgniewana za ceny strasznie zwiększone, podobnież ambicja narodowa jest urażona.

Zawsze włosi jeździli śpiewać do Rosji, a tu masz ci angażują w Moskwie jakiegoś nikomu nieznanego śpiewaka i za wynagrodzeniem u nas niebywałem.

W międzyczasie odbywały się próby, jedna za drugą. Trzydzieści prób w ciągu piętnastu dni, zrana i wieczór.

Podczas jednej z nich autor Arrigo Boito (polak z matki) doszedł do Szalapina i powiedział:

— Nigdy nie przypuszczałbym, że na scenie operowej można odegrać Mefista tak jak pan.

Artyści, zapytywani przeze mnie, jak śpiewa Szalapin, odpowiedzieli, cokolwiek dławiąc się swemi słowami:

— Bardzo dobrze! Znakomicie! Sekretarz teatru mówił:

—O, to wielki artysta.

Przytem wyłupiał oczy i pokazywał ręką ponad głową, a to u włochów oznacza najwyższy stopień pochwały.

— No, a co mówią chórzyści? Chórzyści co mówią?

To mnie interesowało najwięcej.

Chórzyści to najniebezpieczniejsza instancja. Jak Sąd Najwyższy. Niema sędziów surowszych od nich, bowiem każdy z tych ludzi, wegietujących na drugim planie, marzył niegdyś o przechadzaniu się w najbliższem sąsiedztwie rampy. Pod temi wytartemi paltami pogrzebani są bądź co bądź nierozpoznani Mefista, Walentowie, Faustowie. Oni, są, jak wszyscy nieszczęśliwcy, którym w życiu się nie powiodło, pochopni są do czepiania się byleczego.

Ale chórzyści również nie nazywali Szalapina inaczej jak:

Wielki artysta.

Wreszcie została wyznaczona prova generale z dekoracjami i kostjumami. W pierwszych rzędach siedział Arrigo Boito, skupiony i zamyślony. „Mefisto" nadłamał mu życie. Przed 20 laty opera została wygwizdana, przepadła z skandalem niebywałym.

Następnie „Mefisto" był grany w wielu teatrach, lecz rana zadana młodemu sercu nigdy się już nie zagoiła. Boito, gdy pisał tę operę, był młodzieńcem z gęstą czarną

(Dokończenie na str. 16-tej.)

1 maja w Polsce i zagranicą

Tegoroczny obchód 1 maja wbrew przypuszczeniom i pesymistycznym pogłoskom, które na ten temat krążyły już od dni kilku, odbył się w stolicy w najzupełniejszym spokoju i porządku, nie notowanym już od lat kilku. Ten spokojny przebieg święta 1 majowego zawdzięczać należy energicznej akcji władz bezpieczeństwa oraz przemyślanemu planowi działania, wskutek czego z jednej strony sparaliżowano w zarodku wszelkie próby manifestacyj i ekscesów inicjowanych przez żywioły wywrotowe, z drugiej zaś ustaliwszy wespół z przedstawicielami partyj legalnych trasy pochodów socjalistycznych uniemożliwiono zetknięcie się przeciwnych sobie pochodów.



Aresztowania komunistów w Paryżu.



W Stanach Zjednoczonych było cokolwiek goręcej — ale i tu ograniczono się na guzach na czołach komunistów.

Rezultaty uzyskane 1-go maja są tembardziej cenne, że zarówno liczebność pochodów P. P. S. Fr. Rew. i P. P. S. CKW. jak i aktywność komunistów były znacznie większe, niż w latach poprzednich.

Zagranicą również przebieg święta pracy nie został zakłócony wypadkami.

Wystąpienia komunistów, co do których cały świat cywilizowany odnosi się dziś coraz bardziej agresywnie, ograniczyły się do drobnych manifestacyj.

A w Berlinie — gadano, gadano, gadano...



Komuniści francuscy przed grobem ofiar Komuny 70-go roku.



MAURYCY DEKOBRA.

„Suche" Stany Zjednoczone

I.

DZIESIĘCIOLECIE MROŻONEJ WODY.

W dniu 16 stycznia r. b. Stany Zjednoczone obchodziły dziesięciolecie wejścia w życie ustawy Volsteada o prohibicji. Jeżeli owego pamiętnego dnia nie oddano salwy armatniej przed Kapitolem Waszyngtońskim, to w każdym razie nie mniej stu tysięcy korków wystrzeliło ze stu tysięcy butelek w barach potajemnych New Yorku. Domów nie dekorowano — lecz zato nos niejednego obywatela zalśnił tysiącznemi barwami, świadczącemi o jego przywiązaniu do kultu Bachusa.

Dziesięć lat o mrożonej wodzie!... Nadeszłą chwila porachunku, chwila, w której stwierdzimy ilu też dobrodziejstw przysporzyła narodowi amerykańskiemu zastosowanie (w teorji) ustawy o prohibicji.

Zdania są podzielone. Bo w samej rzeczy ustawa urosła do rozmiarów sprawy państwowej, która rozbiła nietylko naród, ale i członków poszczególnych rodzin, na wrogie obozy. Bo stała się ona dla Amerykanów tem, czem była ongiś dla Francuzów, sprawa Dreyfusa.

I o ile woda mrożona zgrupowała dookoła siebie fanatyków, to wino i alkohol wydało na świat męczenników.

Przeciwnicy wody powiadają:

— Prohibicja zbankrutowała. Ustawa ta pogwałciła wolność osobistą i wprowadziła na miejsce idei demokratycznej tyranję. Dzięki niej (p. Hearts to potwierdza na piśmie), ustawodawcy nasi stali się tchórzliwymi hypokrytami. Głosują przeciw alkoholowi, a sami noszą po kieszeniach flaszki whisky. Prohibicja zburzyła jedność narodową, podobnie jak sprawa murzyńska wpłynęła ongiś na wybuch wojny. Dzięki prohibicji stróże porządku publicznego w naszym kraju zostali sami zbrodniarzami i spólnikami przemytników, których winniby tępić. Więzienia nasze zapełniły się. Pogwałcono zasadę nietykalności „home'u", a obywatele nasi szpiegowani są na każdym kroku niczem w Rosji Sowieckiej. A wreszcie z prezydenta naszego zrobiono dyktatora, który *manu militari* broni znienawidzonej ustawy.

Zwolennicy wody mrożonej odpowiadają na to następującemi argumentami:

— Prohibicja zniosła wyszynk publiczny — w barze, czy inaczej w *saloonie*, gdzie ktokolwiek chciał, mógł spijać się bez ograniczenia. Henry Ford trzyma całkowicie naszą stronę i oświadczył, iż w razie zniesienia prohibicji, zamknie swoje zakłady. Prohibicja wzmogła środki nabywcze proletarjatu. Dzięki niej klasy pracujące nauczyły się oszczędzać i skrzętnie odkładają to wszystko przynajmniej, co dawniej pozostawało w szynku.

A oto znów argumenty przeciwników wody mrożonej, tembardziej charakterystyczne, iż zaczerpnięte są z przemówienia jednego z przywódców Armji Zbawienia, pułk. Barkera:

— Prohibicja osłabiła nasze poczynania. Miast podnosić pijaków, tarzających się po rynsztokach, pomoc naszą musimy kierować w stronę podrostków, którzy upijają się pokryjomu. Do przytułków naszych przyjmujemy nawet młodociane alkoholiczki w wieku od 14 lat. I obliczamy, że od czasu wprowadzenia w życie ustawy Volsteada, ilość pijących kobiet wzmogła się w czwórnasób.

Znan ze swej działalności w dziedzinie filantropji, p. Sheppard powołuje się na sensacyjne wprost dane statystyczne:

— Towarzystwo Asekuracyjne *Metropolitan Life* stwierdza, iż z liczby 18 miljonów ubezpieczonych, wielu bardzo — a cyfra ta wzmaga się z każdym rokiem — zmarło wskutek nadużycia alkoholu. „Mokra" Kanada trzy razy lepiej stoi pod tym względem od „suchych" Stanów Zjednoczonych. Przestrzeganie prohibicji w New Yorku jest czysto teoretyczne, a z danych policyjnych dowiadujemy się, iż na 10.000 mieszkańców — 23 zamykają w aresztach za pijaństwo publiczne. W innych miastach stosunek ten przedstawia się jeszcze groźniej — jak 100 do 300 wypadków na 10.000 mieszkańców, podczas gdy w Anglji, gdzie Bóg jeden wie ilu ludzi nie gardzi alkoholem, statystyka ta wyraża się w cyfrach 17 do 10.000.

Co do mnie przynajmniej, to stwierdzam, że zarówno zwolennicy, jak też i antagoniści alkoholu bombardują się wzajemnie nie tyle butelkami *ginu* i lemonjady, ile doprawdy zdumiewającemi argumentami. I zdaje się na pierwszy rzut oka, że obie strony mają rację. A tymczasem t. z. *speak easies*, czyli miejsca poświęcone tajnemu wyszynkowi, cudownie prosperują, nie zważając na żadne zakazy, ani na czujnie, rzekomo, sprawiającą nadzór, policję. Wiadomo mi naprzykład, że w samym New Yorku policja zarejestrowała 30.000 podobnych zakładów, a 50.000 innych obywa się bez wszelkiej „opieki" władz.

Dziwne obyczaje panują w tych lokalach. Podobnie jak w klubach zamkniętych, należy być wprowadzonym przez znajomą osobę. *Speak easy* mieści się zazwyczaj na parterze, jak zbytkowna garsoniera. *Maitre d'hotel* zmierzy nowego przybysza od stóp do głowy, notując sobie w pamięci na wszelki wypadek jego rysy, poczem dopiero wprowadza go do sanktuarjum. Starannie zamknięte okiennice nie przepuszczają doń światła dziennego. Odnosi się wrażenie, że oto za chwilę rozpocznie się czarna msze lub wyuzdany jakiś ceremonjał sekty nagusów. W samej rzeczy jednak można się ograniczyć na skromnem śniadaniu, oblanem piwkiem kanadyjskiem, kieliszkiem wina lub konjaku. Czyżby to miało być orgją pijacką? A wieczorem upijają się na złość Volstaedowi i jego ustawie.

Pewnego dnia spotkałem w jednem ze *speak easy* starego towarzysza broni z 43-ej dywizji, który zapytał mnie o pogląd, jaki zdążyłem sobie wyrobić o prohibicji.

— Co myślę o prohibicji? — oświadczyłem mu otwarcie. — Zdawałoby się przecież, że nie mnie należy o to pytać, gdyż będąc synem rozpustnego, waszem zdaniem, narodu, nie mam prawa udzielać wam rad, wam zwłaszcza, którzy krążycie po świecie z całym tupetem dziecka, co wyzbyło się opieki swej bony. Postaram się być bezstronnym... Oto uchwaliliście ustawę, do której winnoby się zastosować 110 miljonów obywateli U. S., lecz którą codziennie pogwałca conajmniej 50 miljonów ludzi. Czyż poszanowanie prawa nie jest najpierwszą zasadą, której wszyscy bez wyjątku winni hołdować? Przykazanie „nie zabijaj" przestrzegane jest conajmniej przez 9.999 osób na 10.000. I znakomicie. Lecz jeśli przykazanie „nie pij alkoholu—pij raczej wodę mrożoną, lemonjadę lub *„ginger ale"*, znajduje zaledwie posłuch u 5.000 ludzi na 10.000, to widać stąd, iż coś w tem wszystkiem nie jest w porządku. A sprawa ta — mojem zdaniem — staje się tembardziej drastyczną, iż 5.000 zwolenników soku cytrynowego zmusza społeczeństwo do łożenia 300 miljonów dolarów rocznie na utrzymanie dozoru nad tymi, co czują abominację do soczku i wody. Więcej jeszcze — bo dowiadujemy się, iż oto straż ta uśmierciła w ciągu jednego roku 1500 wrogów soczku. Prohibicja, być może, przyczyniła się do wzmożenia dobrobytu jednostek. Lecz czy można sobie wyobrazić, żeby w tak znakomicie urządzonem państwie sprzedawano pokryjomu miljony flaszek ginu i whisky po 250 do 300 fr. za butelkę? Czyż można spokojnie przypatrywać się codziennej tej komedji, która się rozgrywa we wszystkich lokalach restauracyjnych, gdzie pod każdym niemal stolikiem ukryta jest walizka wypełniona butelkami?

— A jakież znajdujesz rozwiązanie?

— Jestem zdania, że obie strony mają rację.

— A więc *status quo ante?...*

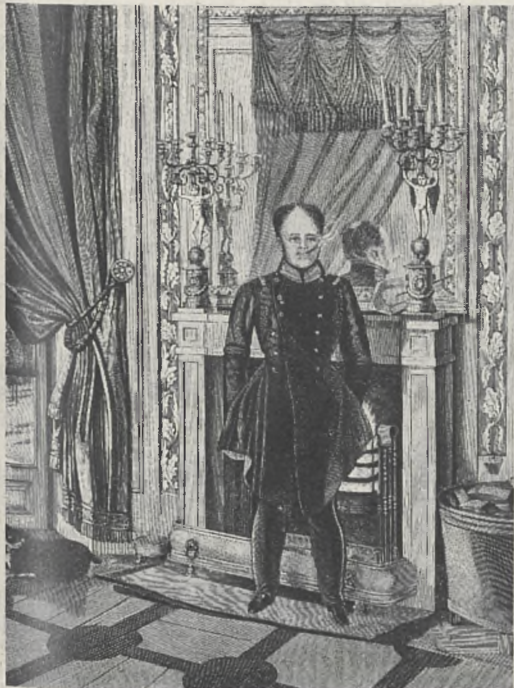
— Bynajmniej!... Powinniście raczej zwrócić się do waszego instytutu Rockefellera o wynalezienie środka unieszkodliwiającego skutki alkoholu...



(fot. Paramout).



W. ks. Mikołaj Pawłowicz, który po odjeździe cesarza na południe Rosji przebywał w Petersburgu, otrzymawszy wiadomość o śmierci Aleksandra, zwołał natychmiast radę państwową. Na tem historycznem posiedzeniu przeczytał testament zmarłego cesarza, oraz zrzeczenie się praw do tronu, podpisane przez w. ks. Konstantego, wobec czego na tron wstąpić powinien w. ks. Mikołaj Pawłowicz. Ten ostatni jednak oświadczył, że podpis w. ks. nie jest podpisem cesarza, że testament nie był ogłoszony, jako manifest, i że wobec tego należy wypełnić ściśle przepisy prawa o następstwie tronu, i złożyć przysięgę wierności cesarzowi Konstantemu Pawłowiczowi, i sam pierwszy przysięgę tą złożył. Już nazajutrz wyszedł „ukaz" polecający składać przysięgę na imię Konstantego, rozporządzenia wszystkie wydawano w imieniu cesarza i króla Konstantego, pojawiły się nawet jego portrety jako nowego cara, w czasie nabożeństw wznoszono już modły za nowego panującego, popi rozgłaszali już chwałę jego panowania, i na gwałt już pisano i drukowano najrozmaitsze „hymny" na jego cześć.



W. Ks. Konstanty w Belwederze.
(według portretu przez jednego z adjutantów).

Tymczasem w. ks. Konstanty, otrzymawszy wiadomość o śmierci brata, zwołał na radę swych najbliższych, i oświadczył, że chociaż wszyscy uznali go już za cara i króla, on jednakże na tron wstąpić nie może, ponieważ musi dotrzymać słowa, danego zmarłemu cesarzowi. Rzecz w tem, że wzamian za pozwolenie wstąpienia w związki małżeńskie z J. Grudzińską, w. ks. zrzekł się praw do tronu. Nie przyjął więc przysięgi od nikogo, a do w. ks. Mikołaja Pawłowicza wysłał list, w którym tytułował go cesarzem, i oświadczył, że pragnie „służyć nadal na tych samych stanowiskach, a jeśliby to nie było wskazanem, tedy pragnie pozostać w Warszawie i jako człowiek prywatny zamieszkać w Łazienkach".

Lecz postępowanie jego nietylko nie było szczere, było także bardzo zagadkowe. Oficjalnie bowiem zabraniał tytułować siebie cesarzem, nie przyjmował listów, adresowanych „do cesarza Konstantego I-go", a jednocześnie nie polecał ani wojsku, ani władzom składać przysięgi na wierność Mikołajowi, i nie wydawał żadnego o swem postępowaniu manifestu.

O czem tedy myślał, cóż było jego celem?

Historja nie daje jasnej odpowiedzi. Mówiono powszechnie, że w. ks. nie chce rosyjskiego tronu, ale, że marzy o polskiej koronie. Kiedy generał Rożniecki w czasie urzędowej rozmowy tytułował go otwarcie „waszą królewską mością", w. ks. Konstanty nie protestował.

W każdym więc razie ostrożne i przewidujące postępowanie w. ks. Mikołaja jest najzupełniej zrozumiałe. Chcąc, by sprawa była najzupełniej jasną, prosił w. ks. Konstantego, by, jako cesarz, jak najszybciej przybył do Petersburga, — lecz i na ten list w. ks. odpowiedział, że uczynić tego nie może, i że „wyjedzie jeszcze dalej, jeśli wszystko nie stanie się zgodnie z wolą zmarłego cesarza", —· przyczem dodawał, że, jego zdaniem, ogłoszenie woli zmarłego wraz z odpowiedniemi aktami wystarczy dla ostatecznego i prawnego załatwienia sprawy.

Lecz w rzeczywistości to nie wystarczało i położenie stawało się trudne. Minęły trzy tygodnie. Niepewność rodziła powszechne wzburzenie. W Petersburgu, gdzie już wszyscy złożyli przysięgę na rzecz Konstantego, nie wiedziano, co się dzieje z nowym carem, czy znajduje się w Warszawie czy w Taganrogu, czy przyjmie koronę czy nie, i co znaczą najsprzeczniejsze wiadomości, rozpuszczane niewiadomo przez kogo.

Aczkolwiek wszystko, jak wiadomo, zakończyło się koronacją w. ks. Mikołaja, cała ta sprawa wskazuje, że w. ks. Konstanty miał jakieś utajone plany, których nie urzeczywistnił nietylko dlatego, że okoliczności miał przeciwko sobie, ale głównie dlatego, że nie starczyło mu ani siły ducha, ani siły woli.

10.

Namiestnik Zajączek umarł w r. 1826, i od tego czasu, ponieważ nowego namiestnika nie naznaczono, kancelarja spraw cywilnych przeniesiona została do biur w. ks. Konstantego. Dążył on podobno (piszemy „podobno", gdyż znane nam fakty przeczą temu) do pojednania rosyjsko-polskiego i chciał zawsze działać w tym duchu. W tym też jakoby celu czuwał nad wszystkiem i z godną podziwu cierpliwością i wytrwałością zajmował się małoważnemi szczegółami. G. Maksymowicz w rozprawie swej p. t. „ Wspomnienia o powstaniu Polski w r. 1830" pisze, że najmniejsze nawet rozporządzenie podlegało „osobistej kontroli" w. ks.

Zresztą położenie jego jako nieoficjalnego władcy Państwa Polskiego, „którego władza była władzą nieodpowiedzialnego dyktatora" (list w. ks. do F. P. Opoczinina z r. 1826), było często bardzo trudne. Stało się jeszcze trudniejsze z chwilą, kiedy między nim a carem Mikołajem zaczęła się cicha, a najmniej walka właśnie na tle stosunków polsko - rosyjskich. Pierwszy spór był sporem o armję. Cesarz Mikołaj życzył sobie, aby armja polska przyjęła udział w wojnie tureckiej. Rosyjski despota sądził (szczerze czy nieszczerze), że udział ten wywoła entuzjazm Polaków, że obudzi w nich uczucia narodowe, przypomni czasy Sobieskiego, i że wreszcie zbrata wojsko wolskie z wojskiem rosyjskiem, skoro walczyć będą pod jednym sztandarem. Pozatem (i o to, oczywiście, głównie chodziło) pochód armji polskiej do Turcji przerwałby udział młodzieży polskiej w tajnych towarzystwach i mógłby zniweczyć plany powstania, jeśli już istnieją.

Ale te argumenty cesarza nie przekonały w. ks. Konstantego. Odpowiedział, że wojna niszczy i demoralizuje żołnierzy, że armja polska powinna zostać nienaruszoną, i że on na wyprawę turecką nigdy się nie zgodzi. Cesarz Mikołaj musiał ustąpić. Wiedział bowiem, że rozdrażnionego w. ks. więcej drażnić nie wolno.

Drugi spór miał inny charakter, niemniej równie był ważnym i znamiennym. Cesarz Mikołaj postanowił wydać nowe prawa, których celem, wedle słów listu A. S. Puszkina do księcia Piotra Wiaziemskiego, było ograniczenie kompetencyj urzędników w stosunku do stanu szlacheckiego, oraz rozszerzenie praw mieszczan i włościan. Projekt ten nie doszedł do skutku właśnie z powodu energicznych protestów w. ks. Konstantego, któremu cesarz posyłał zawsze wszystkie ważniejsze projekty i plany.

Stosunki przeto między Petersburgiem, a Warszawą były stale naprężone, choć naprężenie to w. ks. łagodził wyrażaniem uczuć wiernopoddańczych.

(D. c. n.).

WIKTOR PRZECŁAWSKI

OSTATNIE DZIEŁO MALARZA KRZYWIŃSKIEGO



I.

— Dzisiaj pan jakoś nadmiernie wesoły? — Krzywiński ruchem nerwowym podniósł do ust filiżankę z czarną kawą, wypił do dna i wpatrzył się w Strzelińskiego wzrokiem pełnym martwoty i smutku. Drażniła go dziś niewymownie, miła mu zazwyczaj kawiarniana muzyka, i denerwowały dowcipy codziennego towarzysza wieczornych i nocnych wędrówek. Bo oto od dni kilku owładnęła nim bezprzyczynowa jakoby martwota, tak, że nie szła mu praca około rozpoczętego obrazu, a godzina każda zdawała się wydłużać i bez końca trwać. Kilka wieczorów przesiedział w domu nad książką, ale dziś spostrzegł nagle, prawie z trwogą, że go nic już nie zajmuje, nic nie obchodzi, i że nie jest w stanie zapanować nad nurtującym duszę, ustawicznym, przedziwnym niepokojem. Obejrzał się przeto bezradnie po swojej pięknej pracowni, pozasłaniał starannie wszystkie rozpoczęte obrazy, — i wtedy, gdy mu z przed oczu znikły twory jego własnej wyobraźni, uczuł nagle wkoło siebie wielką, chłodną pustkę — i bezgraniczne milczenie. A wewnętrzny niepokój rósł z każdą minutą; przelał się jakby w tętno krwi i niecierpliwie zakołatał sercem. Krzywiński zaklął z zamachem, po malarsku, chwycił płaszcz i kapelusz, i przyszedł do kawiarni. Był pewnym, że się uspokoi; tymczasem stało się wprost przeciwnie.

Młody, wesoły inżynier Strzeliński nie spostrzegał jednakże złego humoru swego towarzysza. Sypał dowcipami, jak zawsze, i śmiał się z nich pierwszy serdecznie. Teraz dopiero spojrzał na malarza zadziwionym wzrokiem, lecz mruknął jeszcze wesoło:

— Ejże, artysto! Chociażby nawet ogłoszono konkurs na nadmierną wesołość, wątpię, czy ktokolwiek zdobyłby pierwszą nagrodę. Albowiem w dzisiejszych czasach nie można być nigdy nadmiernie wesołym.

— Tak pan sądzi? W takim razie ja muszę być dziś silnie zdenerwowany!

— Czyżby? Czem jednak?

— Tak! Gdybym ja to wiedział? Od kilku dni najzupełniejsza martwota i jakieś...

— Takie coś, co ni stąd, ni stamtąd, właściwie nie coś, bo to ani rusz, ani weź, ni tu, ni gdzieś...

— A może i takie duchowe szmermele, jak pan powiada... — Krzywiński niechętnie już odwrócił głowę i spojrzał w wielkie, kawiarniane okno, o które bez przerwy uderzał wiatr i dzwonił monotonnie deszcz. Niepewnie, poza szybą, migały elektryczne latarnie i przesuwały się szybko sylwetki pochylonych przed siebie przechodni. Malarza przeszył znagła zimny, przykry dreszcz:

— Brr, co za noc...

— Hm, marzec, panie, ale dla mnie wkrótce już nastanie najprawdziwsza wiosna... — Strzeliński spoważniał i przybrał naraz tajemniczą minę.

— No, czemu?

— Dziś panu nie powiem. Mała tajemnica.

— Wygrał pan sto tysięcy?

— Coś tak jakby więcej, bo na całe życie. A sto tysięcy można puścić bardzo prędko...

— Dostał pan jaką znakomitą robotę?

— Ba, jeszcze jaką! Ale to nie to...

— Wobec tego ja idę spać — postanowił nagle Krzywiński — wie pan, jestem dziś taki do niczego, że zdaje się, najlepiej zrobię, jeśli pójdę spać.

— Ha, skoro tak, to trudno. Jutro rano zajdę do pana, dobrze?

— Proszę bardzo... — uścisnęli sobie ręce i Krzywiński wyszedł na ulicę.

Noc była ponura, pełna wichrowego szumu i szelestu deszczu; długa ulica błyszczała posępnie w świetle migotliwie jaśniejących lamp elektrycznych, i ginęła w oddali wśród bladej otęczy mgieł. Krzywiński, otuliwszy się szczelnie płaszczem, kroczył wolno środkiem trotuaru, wsłuchując się obojętnie w głuche echo własnych kroków i dalekie pogwary miasta. Zdało mu się nagle, że jeszcze większa pustka naraz go otoczyła i poczuł coś zimnego w sercu.

Pomyślał. Po chwili przeszedł przez ulicę, ku wylotowi bocznej, półciemnej uliczki, ziejącej zdala pozorną może pustką i mrokiem. Znał tam jedną „taką zatraconą knajpę." Z piekielną fantazją grają tam pseudocyganie i wcale ładne i zgrabne są młode pseudo - cyganki.

Szedł spiesznie.

Lecz nagle, z tą przerażającą nagłością, z którą człowiek zazwyczaj w snach się tylko poznaje, usłyszał jakiś piekielny szum w głowie i uczuł gwałtowny, sekundę zresztą tylko trwający ból w sercu. Jaskrawa błyskawica przeszyła jednocześnie mroczną apatję jego myśli. Przystanął. Uczynił to jednak tak najzupełniej wbrew woli i tak (oczywiście!) dla samego siebie niespodziewanie, iż zatoczył się i omal nie upadł.

Obejrzał się podejrzliwie — pusto — wicher hula — szumi deszcz.

Poczem malarz Krzywiński usłyszał wyraźny, senny, srebrzysty szept:

— Wróć...

Przestraszył się. Zdaje się, że pierwszy raz w życiu bardzo się przestraszył. Zapomniał natychmiast o knajpie i cygankach i zawrócił do domu. Szedł szybko, bardzo szybko, wreszcie biegł już prawie.

Wpadł do sypialni; pozapalał lampy i rzucił się na kanapę.

Wolno uspakajał się rytm wzburzonej krwi i wracał spokój codzienny. Przyszła nawet chwila, że się ironicznie uśmiechnął i pomyślał: ot, halucynacja! Wiem przynajmniej teraz, co to jest halucynacja słuchu!

Ale serce jego biło jeszcze bardzo niespokojnie. Podszedł więc do toalety i umył się chłodną wodą. Czesząc później przed lustrem swą imponującą czuprynę, przypatrywał się (ze zdziwieniem nieco) swej pobladłej twarzy i rozszerzonym, pałającym oczom. Lecz już się uspokoił. Pomyślał nawet, że termin wystawy zbliża się bardzo szybko i że trzeba przecież wykończyć „nimfę z lasu", bo wystawienie tego obrazu nawet już zapowiedział. Przymknął w tem zamyśleniu oczy i stał tak przed lustrem chwilę już dłuższą, gdy oto raz już dziś doznany niepokój ścisnął mu serce na nowo, zmącił myśli, przemógł wolę i opanował go najzupełniej. Myśli, jak ptaki spłoszone, rozbiegły się i znikły... próżno zmagał się w sobie... próżno z wysileniem łapiąc ich ostatnie strzępki, natężał wolę, bo nagle...

Jakby jakiś rozkaz szarpnął nim wtył i jednocześnie odchylił mu zamknięte powieki.

Spojrzał przed siebie w lustro i zmartwiał. Zwinął, skupił się cały w sobie. Mroźny, lodowaty zaiste dreszcz przebiegał jego wyprężone ciało, wpadał w mózg i wzniecał drżącą a okropną, plugawą niemal trwogę. Schwycił się ręką za krawędź łóżka i czuł, że ta ręka cierpnie. Chciał dłoń drugą wznieść do czoła, nie władał nią, chciał zamknąć oczy, rozwierały się coraz szerzej i szerzej...

Przed nim, w lustrze, w jego milczącej, przerażająco teraz głębokiej, tajemniczej i skrzącej się dali działo się coś zaprawdę przedziwnego.

Stwarzała się jakgdyby, wyłaniała się coraz wyraźniej postać czy widmo, czy marzenie — postać kobiety.

... Tajemnicze a cudowne widmo miało oczy jasno - błękitne, najpiękniejszego pełne czaru, rozchylone usta drobne — wargi czerwone gdyby świeża rana — przecięte stanowczym błyskiem równych, małych zębów, — twarz i czoło greckiej bogini, — i pół - odsłonięte, dziewicze piersi.

Stała nieruchoma, z opuszczonemi bezwładnie wzdłuż posągowych kształtów rękami — zupełnie jak obraz, ujęty w złociste ramy wielkiego zwierciadła, tajemnicze dzieło nieznanego mistrza, dzieło stworzone naprawdę.

...Krzywiński pochylił się naprzód i uczuł, jak ciepły prąd życia napływa mu zwolna w żyły. Błękitne oczy widma wzięły go już w zupełne władanie, zatraciy się w nim wszelkie myśli, zatopiło się w szczęsnem obezwładnieniu poczucie rzeczywistości, której granicę przekroczył nieświadomie — i wydało mu się wszystko mniej dziwnem, prawie naturalnem, prawie możliwem i może dostępnem. Pogrążon w upojeniu, patrzył w błękitne oczy widma i nagle począł rozumieć, że te oczy go przyzywają, i że on ich rozkaz tajemny z najwyższą roskoszą spełni. Drgnął wreszcie i wyciągnął przed siebie ramiona. W tejże jednak chwili poczuł ostry ból w prawej dłoni, która oparta przed chwilą na krawędzi łóżka ścierpła i zmarzła, jakgdyby już całe godziny trwała w zupełnem bezruchu.

Ten ból go oprzytomnił. Zamknął oczy i odetchnął głęboko, głęboko, z poczuciem pewnej swobody. Natężył wszystkie siły woli, by zebrać rozproszone myśli i wyszeptał martwym, bezdźwięcznym, zgoła automatycznym głosem:

— Sen — li czy jawa?

Głos własny go przeraził. Przemógł się spazmatycznym wysiłkiem, i znów otworzył oczy.

Cisza mu w uszach zadzwoniła srebrnie, a serce zahuczało jak pęknięty dzwon. Trwoga od nowa skuła mu twarz, obręczą żelazną ścisnęła skronie, bo widmo tajemnicze trwało niezmiennie, piękne i już ukochane, czarowne, a zarazem straszliwe aż do śmiertelnej grozy.

Czerwono płatki zaczęły latać przed jego oczyma i przesłaniać twarz tego zwidziska; lecz już w chwilę potem zimna, przerażająca jasność roztoczyła się wokoło niego, okropna trwoga na nowo owładnęła sercem, i rozbiła świadomość zawrotnie pędzila w otchłań zupełnego szału.

Ostatni błysk myśli: — ratunku!



Dalszy ciąg na str. 17-tej.)



Paradzie wojskowej z okazji obchodu 3-go Maja przyglądał się między innymi szef sztabu rumuńskiego, gen. Samsonovici.

Pierwsze zdjęcie z miejsca strasznej katastrofy pożaru więzienia w Ameryce.







Na lewo — przewódca republikanów hiszpańskich, Unamuno. Na prawo — nowomianowany podsekretarz stanu, Bernard v. Bulow.



Córka ambasadora angielskiego w Paryżu, Anna Tyrrel, zaślubiła 1-go sekretarza ambasady, Adrjana Holmana. Jest to od czasów Marji Stuart pierwszy obrządek ślubny, zawarty przez angielkę w katedrze w Notre Dame.



Dzielny książę Walji daje przykład tężyzny ducha swemu narodowi, ubiegając się o laury zdobywcy przestworzy. Książę dokonał lotu z Marsylji do Windsoru i z powrotem w rekordowym czasie, osobiście kierując aeroplanem.



„Il Duce" na otwarciu wystawy japońskiej w Rzymie. Na pierwszym planie — artysta japoński Taekwan Yokoyama.

Co słychać na świecie

Ostatnie depesze doniosły o aresztowaniu w Indjach głośnego już dziś Mahatmy Gandhiego. Szczegółów brak narazie; wiadomo tylko, że aresztowanie nastąpiło w Surat, skąd przywódcę ruchu niepodległościowego przewieziono koleją do Borioli pod Bombajem, stamtąd zaś samochodem do więzienia w Yeroda. Wiadomo również, że formalnie zastosowane zostało rozporządzenie z r. 1827, przewidujące uwięzienie na czas nieokreślony bez wyroku sądowego. Są to przecież jedynie sprawy formalne. Podłożem istotnem jest, oczywista, walka z ruchem „cywilnego nieposłuszeństwa", w której, jak dotychczas, Anglja unikała rozgrywki ostatecznej, do której hasłem byłoby uwięzienie głównego przywódcy ruchu.

Z uwięzieniem Gandhiego ruch wyzwoleńczy w Indjach zdaje się wchodzić w nową fazę. Nie siląc się tu na żadne przepowiadanie przyszłości, stwierdzić można jednak, że represje w danym wypadku zazwyczaj zawodzą, w większości wypadków podsycają tembardziej tlące się uprzednio zarzewia. Przykładów w tym kierunku dostarczyły nam bodaj dzieje Irlandji, która po długich walkach zdołała osiągnąć cel swój ostateczny, samoistność polityczną.

Oczywista, ważną w danym wypadku rolę odegrać może rozproszkowanie narodowościowe, polityczne, wyznaniowe, a wreszcie kastowe Indyj Wpływać ono będzie niewątpliwie opóźniająco na przebieg walki, w której przeciwnik niezorganizowany staje do zapasów z jedną z najpotężniejszych właśnie organizacyj politycznych. Z drugiej strony jednak mamy przykłady, jak właśnie proces organizacji przyśpieszają czasem surowe przeciwzarządzenia, których założeniem jest t. zw. uspokojenie społeczeństwa.

✻

Na giełdzie nowojorskiej w ub. piątek i sobotę nastąpił krach, dający powód do obaw, iż powtórzyć się mogą t. zw. „czarne dnie" październikowe, gdy w r. ub. notowano katastrofalny spadek kursów. Wprawdzie koła bankowe oceniają położenie w sposób optymistyczny i zapowiadają rychłą poprawę, niemniej jednak depesze donoszą już o zamachach samobójczych, związanych z krachem giełdowym.

Gorączka złota pochłania coraz to nowe ofiary.

✻

„Niemiecki sport"... — takim nagłówkiem opatrzył jeden z dzienników warszawskich wiadomość o wykryciu poważnego magazynu wojskowej broni palnej, amunicji i granatów ręcznych w mieszkaniu kierownika t. zw. klubu sportowego marynarki niemieckiej, radcy rządowego, dr. Luebbena. Śledztwo wykazało przytem, że klub ów był organizacją o charakterze czysto wojskowym, ćwiczącą młodzież nacjonalistyczną pod kierunkiem oficerów marynarki.

Istotnie — niemiecki sport...



Podczas pobytu swego w Paryżu kanclerz Schober był podejmowany śniadaniem na Quai-d'Orsay.

✻

Rata na budowę niemieckiego pancernika B. skreślona została podobno z budżetu r. b. z uwagi na odmowne stanowisko frakcji centrowej i demokratycznej w parlamencie Rzeszy. Tak, ale jednocześnie dowiadujemy się, że dwa niemieckie okręty wojenne, „Schlezwig-Holstein" i „Hessen" goszczą w Syrakuzach, skąd admirał floty niemieckiej Oldekop wyjechać ma do Katanji, by złożyć tam wizytę królowi Włoch. Czy ta wizyta nie będzie jednem z ech konferencji londyńskiej, na którą Niemcy nie były zaproszone, a gdzie porozumienia z Włochami osiągnąć się nie udało?

✻

Przebieg dnia 1 maja w całym świecie cywilizowanym wykazał, że wpływy komunistyczne słabną na całej linji. Z Paryża więc donoszą o znacznem zmniejszeniu się liczby świętujących robotników; w Berlinie tym razem manifestacje zarówno socjalistyczne, jak i komunistyczne, miały naogół przebieg spokojny; w Londynie nie było żadnych zajść w związku ze zorganizowanym tam „pochodem piechurów głodu". Podobnie uspakajające wieści nadeszły ze wszystkich stolic europejskich, — jedynie w Wiedniu starli się social-demokraci z komunistami, przyczem aresztowano 25 osób. O aresztowaniach donoszą również z Tokjo, gdzie w czasie jedynego zresztą zaburzenia ranionych zostało dwóch policjantów.

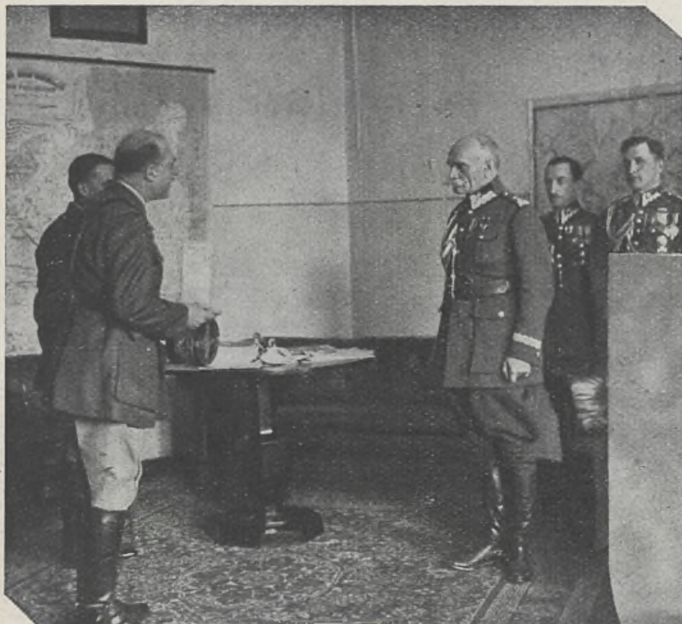
U nas przebieg święta socjalistycznego charakteryzowała pełna godności postawa demonstrujących robotników oraz wysoce taktowne zachowanie się władz bezpieczeństwa publicznego. Wszelkie wysiłki płatnych przez Moskwę komunistów poszły na marne.

✻

W Stanach Zjednoczonych ruch przeciw - prohibicyjny zatacza kręgi coraz szersze. Charakterystycznem bardzo było zdanie, wypowiedziane niedawno przez jednego z działaczy społecznych, z którego pośrednio wynika, iż dojść może do walki zbrojnej przeciw rządowi, o ile ten nie zniesie prohibicji. Na wiecach, organizowanych przez antyprohibicyjne zrzeszenia kobiece, krytykowana jest ostro hipokryzja prohibicjonistów, wśród których podobno są jednostki, bardzo wiele zarabiające na potajemnym handlu alkoholem.

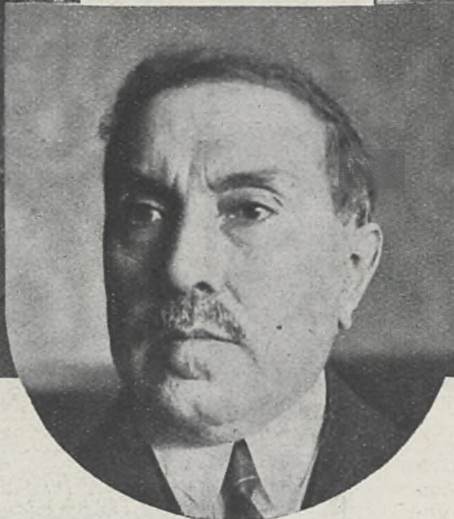
To jest właśnie ta odwrotna strona medalu.

Szczegóły tego zagadnienia zawarte są w nowym cyklu artykułów M. Dekobry, których drukowanie rozpoczynamy od bieżącego numeru.



W dniu 30 ub. m. szef francuskiej misji wojskowej, gen. Denain, wręczył insygnja Wielkiego Krzyża Legji Honorowej gen. Osińskiemu.

Minister pełnomocny, Rudolf Artur Nervo, pierwszy poseł Meksyku w Polsce.





Pierwsza kobieta-minister w Anglji, miss Margaret Bondfield, podczas posiedzenia Międzynarodowego Biura Pracy w Paryżu.

Repertuar teatrów

WIELKI

dn. 8 b. m. „Straszny dwór"
dn. 9 b. m. „Żydówka"
dn. 10 b. m. „Legjon"
dn. 11 b. m. „Dama pikowa"
dn. 12 b. m. — przedstawienie zawieszone.
dn. 13 b. m. „Borys Godunow"
dn. 14 b. m. „Legjon"
dn. 15 b. m. „Wesele Figara"
dn. 16 b. m. „Żydówka"
dn. 17 b. m. „Konrad Wallenrod" (benefis Ign. Dygasa)
dn. 18 b. m. „Opowieści Hoffmana"
dn. 19 b. m. — przedstawienie zawieszone
dn. 20 b. m. „Legjon"
dn. 21 b. m. „Konrad Wallenrod"
dn. 22 b. m. „Sprzedana narzeczona"
dn. 23 b. m. „Konrad Wallenrod"

NARODOWY

codziennie „Dom serc złamanych" B. Shaw'a.

LETNI

codziennie „Maman do wzięcia"

POLSKI

codziennie „Volpone"

MAŁY

codziennie „Piorun z jasnego nieba"

QUI PRO QUO

codziennie wspaniała rewja p. t. „Budżet wiosenny"

MORSKIE OKO

codziennie rewja p. t. „Uśmiech Warszawy"

WESOŁY WIECZÓR

rewja p. t. „Naokoło świata"

Przypominamy o punktualnem płaceniu prenumeraty



REPORTAŻ PRZEZ MIKROFON

Wyznam szczerze, że nigdy nie taiłem podziwu dla „sympatycznego“ *) sprawozdawcy radjowego, p. Tadeusza Strzetelskiego, o którym wiem, że choć od niedawna dopiero odbywa wędrówki z mikrofonem, czyni to z maestrją starego wygi (rychło patrzeć, a dorówna niemieckiemu mistrzowi, Alfredowi Braunowi!) i „wyczarowuje“ — jeśli można tak się wyrazić — nader ciekawe audycje dla setek tysięcy słuchaczów w najtrudniejszych nawet okolicznościach. I proszę mi wierzyć, że zadanie to, aczkolwiek napozór podobne jest do tego, jakie mamy do spełnienia w prasie lub aktualności w filmie, w samej rzeczy jest daleko trudniejsze. A dlaczego — wolę, żeby to objaśnił sam p. Strzetelski.

— Funkcja sprawozdawcy radjowego — oświadcza nam „sympatyczny (powtarzam z satysfakcją) czarodziej“ — wymaga obok poczucia aktualności ogromnego wyrobienia orjentacji, zimnej krwi, odpowiednich warunków głosu i dykcji — a nadewszystko niezawodnej pewności siebie. Dodać tu muszę jeszcze konieczną umiejętność opisywania tła, na którem rozwija się akcja. Opisu bez pominięcia szczegółów, choćby były napozór niewidoczne, a jednocześnie bez sztuczności, gdyż na tem każdy niemal radjosłuchacz wnet umie się poznać. Nie wolno powtarzać się, operować należy językiem zwięzłym, unikać przerw, choćby nawet akcja sama została na chwilę wstrzymana... To jeszcze nie wszystko. Boć przecież w terenie działam nie sam, a wespół z t. zw. referentem akustycznym i z kierownikiem technicznym, z którymi muszę harmonijnie uzgadniać pracę w sposób najbardziej celowy i efektowny. Oczywistą jest rzeczą, że zadanie nasze bywa o tyle łatwiejsze do spełnienia o ile słuchowisko jest zgóry opracowane i posiada bodaj kościec scenarjusza, a temat sam nagina się do wymogów mikrofonu. Trudniej natomiast jest pracować, gdy tematem jest jakaś aktualność — uroczysty obchód, zawody sportowe i t. p. (klasycznym przykładem są tu doroczne dożynki) a już najgorzej, kiedy w toku akcji natykamy się na niezależne od nas niespodzianki, których nikt nie zdołał przewidzieć w programie, lub wreszcie kiedy akcja rozwija się w niewłaściwem tempie a przeważnie za długo. Bo cóż wtedy począć? Mówić trzeba — bez przerwy, trzymać słuchacza w napięciu, a wystrzegać się jak ognia pauz lub powtarzań, które, jak to powiedziałem, nigdy prawie nie uchodzą uwagi słuchacza. Kilkakrotne powtórzenie nawet jednego wyrazu, jak np. terminu „sympatyczny“, którym bezwiednie szafowałem podczas audycyj z przedstawień lub t. p. imprez wystarczyło, aby i mnie przypięto w listach od radjosłuchaczów epitet „sympatycznego“. Słusznie więc zauważył pan, kochany kolego, że trudniej jest zostać sprawozdawcą radjowym, niżli dobrym ba, doskonałym nawet, aktualistą prasowym. Bo przecież — i nie jest to tajemnicą — mamy możność, gdy piszemy, sprawdzenia tego, co wyszło nam z pod pióra. Tu wykreślimy, tam poprawimy, na złość nawet „naczelnemu“ w odbitkach korektowych. Inna rzecz z mikrofonem. Powiedziano — i koniec. Choćby największy lapsus, o co nietrudno przy największej nawet rutynie i zupełnem opanowaniu tremy. Korektorem naszym zostaje sam słuchacz.

— Słyszałem od p. dyrektora Hellera..., — przerywam w tem miejscu.

— Muzyka przyszłości! Sam musiał panu o tem powiedzieć. Bo domyślam się, że chodzi tu o zapisywanie dźwięków na taśmie filmowej, aby później, jak w kinematografji, móc swobodnie montować słuchowiska, odrzucając z nich to wszystko, co uznaliśmy za złe, niefortunnie wypowiedziane lub podchwycone. Jest to, powtarzam muzyką przyszłości. Może bardzo rychłej, bo któż może dziś wiedzieć — tymczasem jednak musimy sobie zgóry zapowiedzieć, że jesteśmy nieomylni.

— Teoretycznie. A praktycznie — i panu zapewne zdarzył się niejeden kawał...

— Niejeden, istotnie. Opowiem panu, naprzykład, jak to pewnego razu, podczas dożynek w Spale, kiedy po godzinnej defiladzie nie wiedziałem doprawdy co mówić, aby nie przestać być interesującym, podszedł do mnie dyrektor Krynicy, p. Nowotarski i, korzystając z chwili, gdy głos mój zastąpił śpiew jakiejś grupy wieśniaków, zapytał:

*) Dlaczego używam poza wszelkim sentymentem dla sz. kolegi tego epitetu — okaże się później.

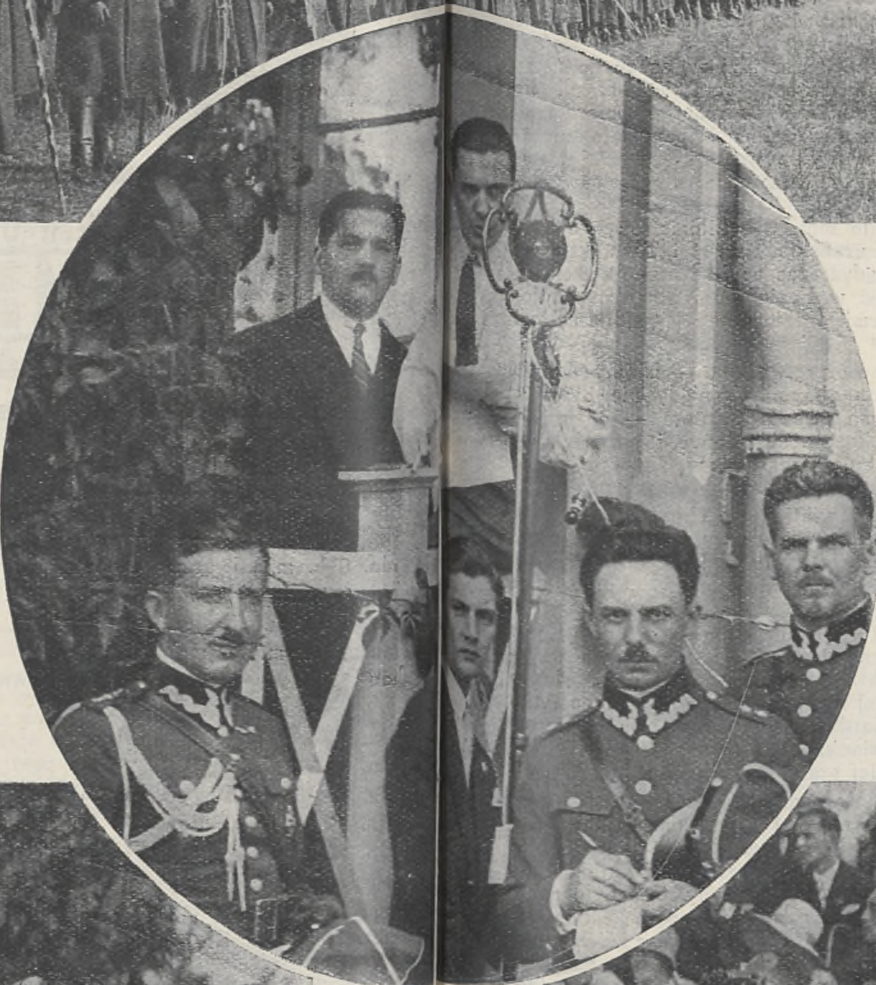
Z mikrofonem na konkursach hipicznych.



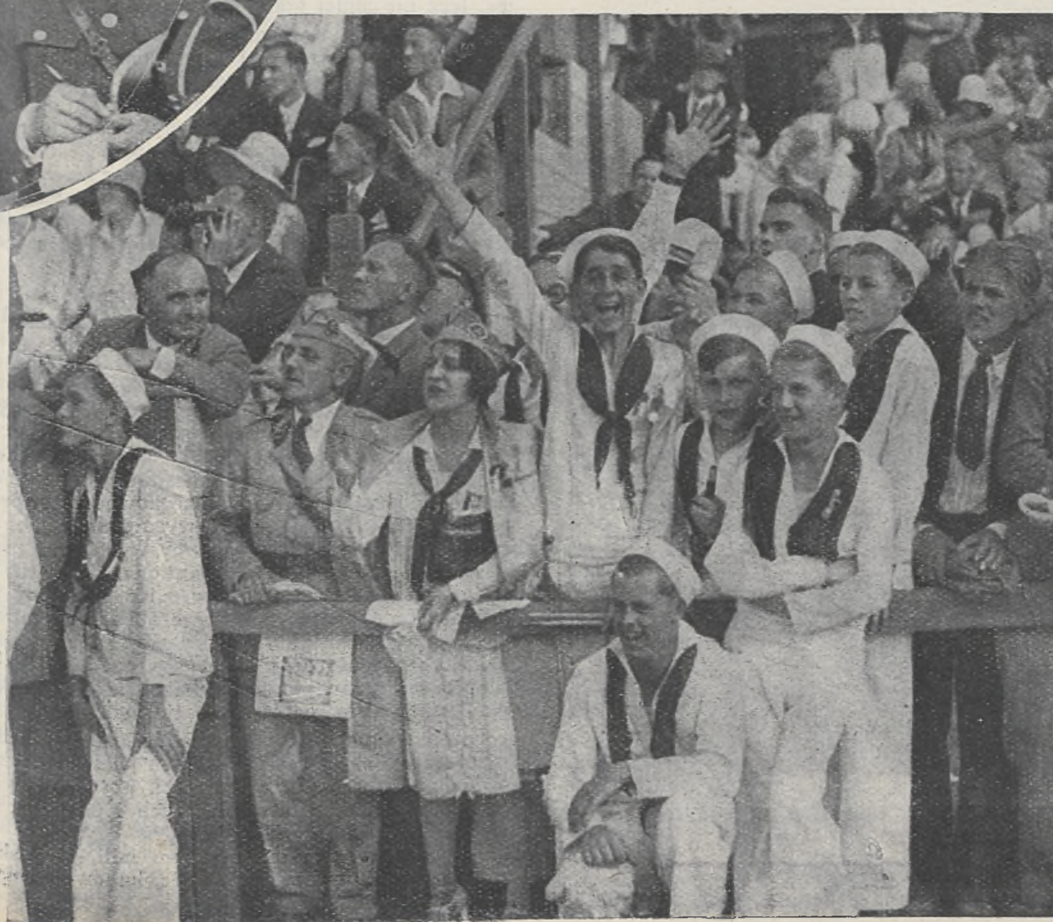
Chwila pełna emocji — to wszak popis Nurmiego, o którym sprawozdawcy radjowi nadadzą sensacyjny reportaż.











Mikrofon [illegible] wszędzie gdzie tylko [illegible]je się coś ważnego — [illegible] to podczas doży[illegible] w Spale, podczas po[illegible]cenia grobu poległy[illegible]od Radzyminem, cz[illegible]eszcie na popisach [illegible]towych.

— Przepraszam pana za szczerość. Ale, stojąc obok pana, słuchałem uważnie, co pan mówił i przyglądałem się wszystkiemu, usiłując patrzeć pańskiemi oczyma — i przyznam, że doprawdy nie widziałem tego, o czem pan mówił...

Istotnie, pusty śmiech bierze mnie nieraz, gdy staram się wsłuchać w to, o czem mówię podczas audycji, a wszyscy, co stoją w pobliżu, śmieją się również, gdyż zdaje się im, — a co do mnie, jestem tego pewien — że „koloryzuję“, ile tylko mogę.

Niedawno, naprzykład, w Toruniu, pamiętam, że mówiłem, jak oto jedzie baterja... kare konie w zaprzęgu, przykryte czaprakami... rośli i dorodni żołnierze siedzą w siodłach i na jaszczach... i t. d. Mówiłem niemal z patosem o rzeczach, których nikt nie widział — ani „dorodnych ludzi“, ani lamowania na czaprakach, ani blasku guzów — lecz mówiłem, gdyż praktyka nauczyła mnie być „kolorystą“, bo inaczej niema czaru — są natomiast listowne krytyki od słuchaczów, a zwłaszcza, jeśli chodzi o umiłowaną przez wszystkich armję.

Powróćmy jednak do „kawałów“.

Sprowadzenie zwłok generała Bema. Czekamy na pociąg. Kompanja honorowa szykuje się na peronie. Jeszcze chwila, aż wreszcie pociąg wtoczył się z łoskotem. Komenda... Szczęk broni... Generał węgierski wychodzi z wagonu i kroczy wzdłuż frontu... A biedny mój kolega, oszołomiony tym zgiełkiem, wali przez mikrofon: „W tej chwili wysiada generał... Oto przechodzi przed frontem karabinów... Karabiny trzymają żołnierze...“



Transmisja z regat międzynarodowych.



Mjr. A. Bogusławski podczas transmisji z ceremonji oddziałów przysposobienia wojskowego.

Tego samego dnia mieliśmy inną przygodę, tym razem luźniej związaną z radjofonją, nie mniej jednak zabawną: Oto idziemy wślad za pochodem, a kolega Wodzinowski niesie na plecach zwój kabla i skrzynkę mikrofonu. Wtem uroczystą ciszę przerywa głos z tłumu:

— O, patrzcie no, niesie puszkę z ziemią z Aleppo!...

Innym znów razem, kiedy podczas dyżuru, jaki trzymaliśmy w ciągu 48 godzin w Polskiem Radjo z okazji polskiego lotu transatlantyckiego, pragnąłem skrócić słuchaczom chwile oczekiwania zapowiedziałem podobno, że nadamy koncercik z płyt *fotograficznych...*

Albo podczas jakiejś akademji w Filharmonji, któremuś z nas wyrwało się następujące zdanie: „Oto w pierwszych rzędach siedzą przedstawiciele rządu, duchowieństwa... a dalej, za nimi, przedstawiciele sfer kulturalnych i inteligencji...“

Zdarzają się również „kawały“, które mogą doprowadzić do pasji, jak naprzykład wypadek, kiedy wskutek nieuwagi jednego z moich kolegów, przemawiałem przez kwadrans przed wyłączonym mikrofonem.

Ale zato nadarza się nieraz okazja, gdy dzięki technice można samemu zrobić świetny „kawał“. Oto pewnego razu, przed rozpoczęciem jednej z większych uroczystości, oświadczono mi nagle, że transmisja nie może się odbyć, gdyż, zdaniem organizatorów, to nie uchodzi.

— Nic na to nie poradzę — odparłem z zimną krwią. — Mikrofony są ustawione i nie zdołam już ich zdjąć.

— To każemy je sami usunąć!...

— Bardzo proszę. Ale nie mógłbym odpowiadać za życie tych, którym to będzie powierzone, gdyż przez kable przechodzi prąd o napięciu 100.000 wolt (!)...

— To każemy zarzucić jakąś zasłonę na mikrofon...

— Nic nie mam przeciwko temu... (Bo jakże inaczej, jeśli sam miałem to zrobić z powodu zbyt bliskiego ustawienia mikrofonu).

I audycja odbyła się — jedna z najciekawszych — a nikt w następstwie nie podniósł słowa krytyki.

Dowodem tego, jak publiczność docenia wysiłki nasze w kierunku tworzenia realnych, z życiem związanych słuchowisk, niechaj będzie list, pierwszy z brzegu, z pośród tysięcy, które do nas napływają — list tembardziej interesujący, że wysłany z głuchej prowincji:

Słuchowisko z dnia 14.VI godz. 20 z minutami — informacje z ruchu ulicznego, na krzyżowaniach ulic Al. Jerozolimskie — Nowy Świat wypadło naprawdę imponująco. Z wielkiem zaciekawieniem i zainteresowaniem całe moje grono familijne, liczące 9 osób, słuchało WPana, o nader miłym głosie, zapowiadającego nam szczegóły z ruchu ulicznego najdroższej Warszawy. Zdawało się, że jesteśmy sami obecni w Warszawie i przypatrujemy się ruchowi płynących w nieskończoność aut, motocykli, tramwajów, pojazdów. Rzecz to miła i ciekawa; w oddaleniu wprost zawrotnem obserwujemy ruch Warszawy, wsłuchując się w nieskończoność melodji syren autowych. Czyż nie jest to wprost zachętą zwiedzenia naszej drogiej, polskiej, wielkiej stolicy?

Tu następuje podpis p. X, zawiadowcy stacji

(Dokończenie na str. 16-ej)

„VOLPONE" w Teatrze Polskim



Pani Leszczyńska święci prawdziwe triumfy w „Volpone" (fot. Brzozowski).



Maszyński i Samborski tworzą kapitalną parę w „Volpone". (fot. Brzozowski).

ZDZISŁAW MARYNOWSKI

Jak się kupuje i sprzedaje w Fezie

Granica pomiędzy Algierem a Marokkiem biegnie kędyś wśród gór. Bóg ją wie którędy. Mówią o tem coś mapy i jako tako znają jej linję celnicy Dla mnie jest ona w Uddzie, w pierwszem mieście na niepodległem terytorjum marokańskiem. — Algerja jest kolonją francuską i wysyła nawet do parlamentu paryskiego swych posłów, w Marokku zaś panuje sułtan, a Francja roztacza nad nim swój protektorat. W Uddzie jest zatem granica celna dwuch państw.

Przyjechałem tam pewnego wieczoru letniego, gdy w północnej części sułtańskiego państwa paliła się krwawa wojna ze zbuntowanym Abd-El-Krimem. Ta wojna nie była mi wcale przeszkodą, lecz przeciwnie, dostarczyła mi okazji do zwiedzenia legendarnego państwa Maurów. Przyjechałem tam jako korespondent wojenny.

Nie będę mówił o swych przygodach, związanych z charakterem mej ówczesnej misji, lecz opowiem wam o Fezie.

Fez znałem dawniej, zanim go poznałem. Ujrzałem go po raz pierwszy w życiu na głowie pewnego Turka, który miał w Warszawie piekarnię. Była to czerwona czapka takiego kształtu, jakby miała służyć za formę do wypieku babek. — Zresztą znacie ją wszyscy — wsławił ją dostatecznie dyktator Turcji Kemal Pasza, zabraniając jej używania nowoczesnym Turkom.

Wracam do Uddy, by z niej wyjechać do Fezu Wyjechałem przed świtem. Samochód toczył się wspaniale po równiutkiej jak stół i w miarę szerokiej szosie francuskiej. Zimno panowało niesamowite — jak to zwykle w Afryce, która w naszem pojęciu łączy się zazwyczaj z pojęciem chlebowego pieca.

Od Fezu dzieliło mnie 350 kilometrów. Po drodze małe miasta arabskie Taurirt i Taza, których nie zwiedzałem, gdyż czas naglił i przed zmrokiem miałem się stawić w Fezie. Tam bowiem znajdował się sztab armji francuskiej — najbliższy cel mojej podróży.

Nie była to podróż rozkoszna. — Najprzód było bardzo zimno, tak zimno, jak nigdy nie bywa w Polsce, jeśli niema mrozów. Potem — gdzieś za Taurirtem — pokazało się słońce i poczęło się szybko usuwać ku górze. Już w Tazie był upał furjacki.

Pókiśmy jechali, wiatr nam chłodził czupryny; gdyśmy przystanęli, wydało mi się, że natychmiast dostanę porażenia słonecznego. Lecz nie dostałem. nałożyłem natomiast zielone okulary, chroniące od blasku.

Na przestrzeni tych 350 kilometrów droga jest niesłychanie monotonna. Po lewej stronie wzgórza Średniego Atlasu szare, wypalone od słońca i nagie, po prawej nieco bliższe góry Małego Atlasu czyli Rifu, bardziej interesujące, bo zawierają ukryte niespodzianki zbuntowanego Abd-El-Krima, lecz nie mniej szare i monotonne.

Środkiem wije się znakomita szosa, tocząca swe serpentyny nad stromemi urwiskami. Ponad tem wszystkiem zać palące i ogłupiające słońce.

Trzeba się zawziąć by odwalić te 350 kilometrów w jednym dniu. Lecz odwaliliśmy. Cóż było robić.

Podjazd do Fezu wynagrodził nam monotonję całodziennej podróży. Po którymś z nielicznych zakrętów, gdy droga biegnie wysoko, górnemi szlakami, gdy oko już przywykło do szarzyzny tego słonecznego spaleniska, otwiera się nagle szeroka perspektywa ku dołowi.

Otwiera się widok niezwykły — jakby ktoś pomiędzy góry chojnemi garściami sypnął kostki białego cukru. To płaskie domy arabskie, zalegające kotlinę górską, pnące się wzwyż ku zboczom, kupiące się wzdłuż brzegów strumieni i rozpływające się w daleką przestrzeń parowów skalnych Pomiędzy tem wszystkiem wystrzelają kity soczystej zieleni i fiolety kwitnących glicynji. To Fez.

Licznemi serpentynami opuszczamy się wdół i przez zapoczątkowaną dzielnicę nowoczesną, przez plac targowy, dostajemy się w zawikłany labirynt uliczek bez początku i końca, by wylądować przed czarującym hotelem Transatlantique. Hotel ten leży na skraju miasta arabskiego i przerobiony jest z arabskiego pałacu. W przeróbce mało stracił ze swego charakteru, jedynie wewnętrzny dziedzińczyk z fontanną przerobiono na salę jadalną, a stare mury zaopatrzono w kanalizację i wodociągi. Jest tu miło, egzotycznie i wygodnie.

Przebywałem w tem mieście dość długo z licznemi nawrotami. Pierwszy dzień jednak, po załatwieniu niezbędnych formalności, poświęciłem zakupom upominków dla znajomych i pamiątek dla siebie.

Kupować w tem mieście, moi mili, to roskosz prawdziwa. Pomijam już to, że kupować wogóle

bardzo lubię, gdy mam pieniądze. Ale kupować w Fezie! Ah!

Kupowałem, kupowaliśmy wszyscy i w Warszawie, i w Paryżu, i w Wiedniu... Lecz cóż to jest to nasze kupowanie? Cóż to za przyjemność?

Przechodzi się koło wystawy, dostrzega się coś potrzebnego, czy coś ładnego, wchodzi się do sklepu, pyta się o cenę, każe się zapakować, płaci się w kasie i koniec. Potem wraca się do domu i robi się ze sprawunku właściwy użytek, lub też rzuca go się w kąt, jeśli w oświetleniu domowem przestał być tem, czem się wydawał na wystawie. W najlepszym razie, nawet gdy jesteśmy zadowoleni z kupna, całość wrażenia psuje nam myśl o cenie, jaką zapłaciliśmy. Wydaje nam się zbyt wygórowana.

Tak się nie kupuje w Fezie, lęcz nie odrazu się o tem wie. Ja pierwszego dnia kupowałem jak barbarzyńca.

Wąziutkiemi, metrowej szerokości uliczkami, które robią wrażenie ścieżek w mrowisku, mój przewodnik zaprowadził mnie do dzielnicy handlowej. Dziwnie ona wygląda. W bezokiennych ścianach domów są sklepy miniaturowe, jak duże szafy. W każdej szafie siedzi Arab, a że mu we wnętrzu brak miejsca, więc nogi w safianowych pantoflach wystawia na ulicę. W ten sposób uliczka udekorowana jest po obu stronach długiemi rzędami stóp, obutych w kolorowe sandały. Nogi te chowają się od czasu do czasu, jak różki ślimaka, gdy w pobliżu zatentni kłus jucznego osła.

Pomiędzy temi sandałami i osłami snuje się tłum przechodniów. Oczy ich badawczo przeszukują sklepy, przyglądają się wspaniałym wyrobom z kutego mosiądzu, haftowanym i tłoczonym w misterne arabeski poduszkom ze skóry, oprawom do książek, fajansowym naczyniom, srebrnym naramiennikom. Tu i owdzie słychać odgłosy kłótni.

To nie kłótnia — to Arab kupuje. To się rozgrywa być może ostatni akt oddawna rozpoczętej komedji.

Arab nigdy nie kupuje lekkomyślnie, ani też powodowany jest chwilową zachcianką.



Siedząc kędyś wśród głębokiego bledu — czyli na prowincji marokańskiej, — szlachetny M'hamed ben Hadid zauważył, że w jego namiocie przydałby się jeszcze jeden miękki, skórzany taburet. Możnaby wprawdzie kazać taki taburet uszyć żonom, ale M'hamed przypomina sobie, że w ubiegłym roku widział przecudny sprzęt w kramie Si Kerima Alego w Fezie, niedaleko fonduku Nezarina. Był to niewątpliwie najpiękniejszy taburet, jaki M'hamedowi zdarzyło się w życiu oglądać.

Uszyty był z miękkiej koziej skóry... Tak, uszyty, ponieważ to, co w użytku stanowi taburet, w sklepie jest workiem skórzanym. Worek taki wypycha się czem kto chce — suszonemi trawami, wełną, mchem, lub piaskiem poprostu. Po wypchaniu, worek przybiera kształt krótkiego pnia, na którym można usiąść.

Fantazja artysty może taburetowi nadać nietylko rozmaity kształt, ale przedewszystkiem przyodziewa go we wspaniałe ozdoby. Mięciutką kozią skórę tłoczy się prawdziwem złotem w misterne arabeski, maluje się subtelnemi barwami roślinnemi, lub haftuje nicią jedwabną. Czasem wprost szyje się z różnokolorowych kawałków skór.

Arab czuły jest na piękno, to też M'hamedowi głęboko utkwił w pamięci skórzany puf.

Przybył go teraz kupić. Odnalazł go w tym samym kramie i cichutko cmoknął z zadowolenia. Przywitał kupca statecznie i zapytał o cenę. Kupiec schował nogi do kramu i wystawił głowę.

— To kosztuje dwieście franków — odpowiedział spokojnie.

M'hamed aż podskoczył, ale odpowiedział również spokojnie, że mógłby ofiarować pięćdziesiąt franków.

W odpowiedzi kupiec schował głowę do wnętrza, a wystawił nogi.

— Ałłach jest wielki! Dwieście franków — powtórzył.

Tego dnia targ nie doszedł do skutku, lecz M'hamed powrócił dnia następnego. Tym razem rozpoczęło się już od sześćdziesięciu franków i trwało długo. Kupiec kilkakrotnie musiał chować nogi do sklepu i wystawiać głowę. Ba! musiał nawet wstać i przytrzymać M'hameda, który chciał już odejść wymieniwszy najwyższą cenę 90-ciu franków.

Stanęli obaj przed kramem i jęli nawzajem przedkładać swe argumenty. Kupiec się zaklinał M'hamed się zaklinał, kupiec się pieni i poci i M'hamed się pieni i poci, obaj wrzeszczą, obaj chrypną i obaj trwają na swych pozycjach. Co chwila obrażają się, przerywają dyskusję i rozchodzą się, by po chwili podjąć walkę na nowo.

Wreszcie ulega w walce kupiec i oddaje M'hamedowi sprzęt za sto franków. Rozstają się z uszczęśliwionemi minami. Kupiec święcie jest przekonany, że orżnął M'hameda conajmniej na 20 franków. — M'hamed jest dumny z siebie, ze swego talentu i ze swego zwycięstwa.

M'hamed patrzy na swój taburet rozkochanem okiem. To już nie jest jego zwyczajny sprawunek, to jest jego zdobycz.

Odtąd ilekroć nań spojrzy, humoru jego nie popsuje myśl o tem, że przepłacił, lecz odnowi się w jego duszy rozkoszne wspomnienie słodkiego zwycięstwa. Jego stosunek do taburetu stał się już głęboko sentymentalny — połączyło go z nim emocjonujące przeżycie.

Kupować w Fezie, inaczej płacić bez targu wymienioną cenę byłoby nietylko dowodem lekkomyślności, lecz i braku znajomości dobrego tonu, albo poprostu kultury. Kupując trzeba popisać się całą znajomością sztuki, by poprostu nie psuć przyjemności sprzedającemu. Tej sztuki trzeba się nauczyć, a dopiero wówczas można się zapuścić w powikłany labirynt uliczek arabskich. Tak, jak trzeba się najprzód nauczyć fechtować, zanim się przyjmie wyzwanie na szable.

I ja mam w domu piękną skórzaną poduszkę i safjanowe blaghi, czyli pantofle, a ilekroć na nie spojrzę tylekroć się uśmiecham z przyjemnością. Zdobyłem to wszystko za 50 franków po dwugodzinnej zaciętej walce, przeprowadzonej lege artis, podług wzoru szlachetnego M'hameda ben Hadida.

No i powiedzcie sami, kochani, czy macie tu w Europie pojęcie o tem, co znaczy boska roskosz kupowania?

Reportaż przez mikrofon

Dokończenie ze str. 13-tej)

— Czy może mi pan zdradzić, sympatyczny" kolego, nazwiska tych, co razem z panem służą w Polskiem Radjo aktualności?

— Proszę bardzo... Są to koledzy Antoni Bogusławski i Andrzej Wodzinowski oraz kierownik techniczny p. Mieczysław Kiełpiński, którego największą pasją jest, że jeszcze skrępowani jesteśmy kablem, a marzeniem — abyśmy również, dopóki nie będzie rozwiązana sprawa zapisywania dźwięków na filmie lub inna inowacja, posiadali przynajmniej, jak zagranicą, urządzenia techniczne, umieszczone na specjalnych samochodach. Lecz i na to przyjdzie kolej, a tymczasem, czyniąc wszystko, co możemy, zapowiadamy b. szeroko zakreślony program na sezon letni. Oprócz więc tradycyjnych dożynek, konkursów hippicznych i regat wioślarskich staniemy na ringu bokserskim, na boisku piłkowem i w pływalni; powędrujemy na plażą i do Luna Parku, odwiedzimy Ogród zoologiczny i ogródki dla dzieci, udamy się nad morze — na statek wojenny, do portu, na latarnię morską, uchwycimy trele słowików i kumkanie żab, które będą tłem do nastrojowych audycyj literackich — nie pominiemy wreszcie żadnej aktualności.

I na tem koniec stawiamy reportażowi o reportażu, bo kolega Strzetelski nie ma już chwili do stracenia, jako że pędzi do pociągu — na wycieczką dziennikarską do Rumunji i Czechosłowacji, o której nam obiecał na pocieszenie artykuł

Er.

Szalapin w „la Scala"

(Dokończenie ze str. 4-ej)

czupryną, z zawadjackim wąsem, ze śmiałem, wyzywającem spojrzeniem. Teraz trochę garbiąc się, siedział w fotelu człowiek z przemęczonemi, siwiejącemi włosami i smutnem spojrzeniem.

Po 20 latach, będąc na progu starości, apelował on przeciwko niesprawiedliwemu wyrokowi już przed nowem pokoleniem. Z cudzoziemcem — w charakterze adwokata.

Kiedy skończył się pięknie odegrany prolog, Boito podniósł do góry pochyloną głowę i, do nikogo nie zwracając się, głośno wypowiedział myśl, która dręczyła go przez 20 lat:

— Mnie się zdaje, że opera ta nie ze wszystkiem zasługuje na wygwizdanie.

I Boito poszedł za kulisy ścisnąć dłoń Szalapinowi:

— Wywoła pan sensację tą kreacją...

W wieczór pierwszego przedstawienia sala „Scali" przedstawiała niezwykły widok. Największy teatr świata wypełniony był od dołu do góry. Tłumy stoją w przejściach. W lożach, ozdobionych każda według gustu właściciela, zasiada cała arystokracja krwi i majątku, wszystkie znakomitości Medjolanu.

Cały z nerwów maestro Toscanini, blady, przejęty trwogą zajmuje swe miejsce pośród olbrzymiej orkiestry.

Kurtyna wzniosła się do góry, a wspaniałą salę teatru, z jego jedynym rezonansem, napełnił piękny głos:

— Ave, Signor!

Pod koniec przedstawienia widzownia szalała Co znaczą nasze nędzne i czcze oklaski i stęki szalapinistek przed tą burzą, tym orkanem rozegzaltowanej włoskiej publiczności. Skąpe światło zachodzącego światła, przebijające się przez mgłę północną w porównaniu z gorącemi, prażącemi promieniami południa.

Boito do teatru nie poszedł. O 8-ej wieczór rozebrał się, położył się do łóżka, jak na stół operacyjny.

Po każdym akcie przybiegali do niego ludzie z teatru z nowinami:

— Prolog bisowany! Szalone oklaski! Caruso (wykonawca roli Fausta) ma wielkie powodzenie! Szalapin odniósł niebywały sukces! Fischio bisowany! Kwartet w ogrodzie powtórzony! Publiczność wywołuje pana, maestro! Wszystko zapomniane!

— No, a cóż Marinetti i jego zgraja „szubrawców w żółtych rękawiczkach"—przy wyjściu z teatru pytam znajomego włocha, przypominając jak przed początkiem przedstawienia „szef klaki" w pięknie skrojonym fraku, z miną solenizanta, przebiegał od jednej grupy jakiś podejrzanych typków do drugiej i szeptem oddawał im rozkazy.

— Proszę pana, pan widział, jaki olbrzymi sukces. Wszak Marinetti et Co nie są głupcami Oni dobrze znają swą publiczność. Spróbowałby któryś, wszystkie gnaty by mu potłukli. Wara przeciwstawić się włoskiej publiczności w takich chwilach!

ROZRYWKI UMYSŁOWE

TURNIEJ SZACHOWY O MISTRZOSTWO WARSZAWY.

W turnieju bierze udział trzynastu szachistów, w tem pięciu mistrzów: Blass, Frydman, Łowicki, Kremer i Makarczyk. Po sześciu dniach gry szanse konkurentów nie zarysowały się jeszcze dokładniej. W każdym razie Łowcki i Blass są obecnie na czele.

PARTJA

białe: Makarczyk, czarne: Dobrzański.
grana na turnieju o mistrzostwo Warszawy w dn. 28 kwietnia b. r.

1. d2—d4 Sg8—f6
2. c2—c4 b7—b6
3. Sb1—c3 Gc8—b7
4. f2—f3 e7—e6

Lepiej nie dopuścić do zorganizowania falangi pionowej, np. grając d7—d5:

5. e2—e4 d7—d5

Teraz białe osiągają przewagę pozycji pionowej:

6. c4×d5 e6×d5
7. e4—e5 Sf6—d7
8. f3—f4 Gf8—b4

Czarne dążą do c7—c5, ale białe odrazu zmuszają przeciwnika do zdeklarowania zamiarów.

9. a2—a3! Gb4×c3
10. b2×c3

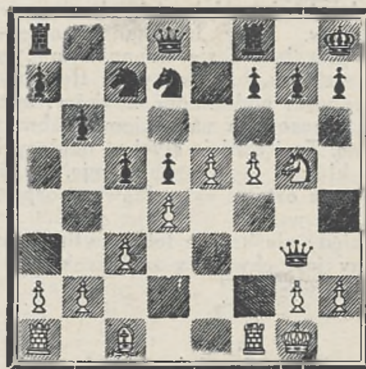
Teraz biały pion d4, a więc i e5, został wzmocniony, dzięki czemu pion f uzyskuje swobodę działania. Z pierwszych dziesięciu posunięć białe wykonały dziewięć samemi pionami!

10. .... c7—c5
11. Sg1—f3 Gc8—a6
12. Gf1×a6 Sb8×a6
13. O—O Sa6—c7
14. f4—f5 O—O
15. Hd1—e1 Wa8—c8
16. He1—g3 Kg8—h8

Konieczne wobec groźby Gc1—h6. Czarne są bezradne, gdyż na f7—f6 nastąpi e5—e6, zaś na g7—g6 nastąpi f5—f6.

17. Sf3—g5!

Czarne: Dobrzański



Białe: Makarczyk

Jeżeli teraz f7—f6, to 18. Sg5×h7, Kg8×h7. 19. e5—e6, Hd8—e7. 20. Wf1—f4, albo Gc1—f4 i białe osiągają przewagę.

Jeżeli zaś h7—h6, to 18. f5—f6! i białe wygrywają.

17. ..... Hd8—e7
18. Sg5×h7!

również wygrywa Hg3—h3

18. ..... Kh8×h7
19. f5—f6

Czarne się poddały.



Dnia 15 kwietnia b. r. odbyła się w salonach Philipsa na ul. Mazowieckiej, o godz. 5-ej popoł., uroczystość wręczenia daru 6-ciu lamp prostowniczych DA 12/24000 Państwowemu Instytutowi Radjotechnicznemu. Na uroczystości obecni byli prof. Groszkowski, prof. Sokolcew z żoną, prof. Pożaryski, major Krulisz, dr. Stępowski dyr. Bajer, dyr. Szrade, przedstawiciele prasy i świata radjotechnicznego. Dłuższe przemówienie wygłosił prof. Groszkowski, dziękując w imieniu Państwowego Instytutu Radjotechnicznego Polskim Zakładom Philips za ich dar i podkreślając specjalną życzliwość i szlachetną inicjatywę dyr. Lauparta, dzięki któremu wręczony został tak kosztowny dar.

Ostatnie dzieło malarza Krzywińskiego

(Dalszy ciąg ze str. 8-ej).

Pochwycił ciężki trójramienny świecznik, wzniósł go, zamierzył się. Wargi jego rozchyliły się złym uśmiechem i zęby błysły drapieżne.

— Uderzę — rozbiję i zniknie!

Już miał uderzyć i zmartwiał. Cudowne widmo uśmiechnęło się łaskawie — tak, widział to tak wyraźnie, tak jasno — i poruszyło przecząco swą przepiękną głową.

Później usłyszał Krzywiński przeraźliwy
w głowie, — rój rozwirowanych czerw
ków przesłonił mu oczy — i wiel
podcięła mu nogi.

Zatoczył się bezw
Głuchy d

Ocknął się. Spojrzał. Lustro skrzyło się odbiciami światła, zimne, martwe, puste, tak okropnie, tajemniczo puste.

Zatoczył się znowu i opadł ciężko na łóżko; machinalnie rozpiął kołnierzyk i oddychał głośno, chrapliwie, głęboko.

Za oknem jaśniał już szary
świt.

Spał jeszcze godzinę. Rozbudził go dopiero denerwujący dźwięk dzwonka elektrycznego.

Zwlókł się niechętnie z łóżka i poszedł otworzyć: — Kto tam?

— Ja! Niech pan otwiera! — poznał głos
Otworzył.

BURZA

PHILIPS OPPENHEIM (17)

Streszczenie poprzednich rozdziałów:

W Nizzy odbywa się Kongres Wielkiego Traktatu Narodów, pod przewodnictwem ambasadora Anglji, lorda Yeovil. Dzięki pomocy Granta Slattery, Stany Zjednoczone zostają zaproszone do udziału w pracach Kongresu. Grant udaje się własnym yachtem w podróż do Ameryki. Na drugi dzień po odpłynięciu z Monte Carlo, spotyka na pokładzie księżnę von Dirs, byłą swą narzeczoną, która, potajemnie, chciała uciec przed mężem do Ameryki. Rad nierad Grant wiezie księżnę do New Yorku. W tym czasie Blunn, przyjeżdża również do Ameryki, wypowiadając wojnę Grantowi.

XXX.

Korneljusz Blunn był tego rodzaju gościem, o jakim marzą wszyscy właściciele i dyrektorzy hoteli. Otaczał się niesłychanym zbytkiem i luksusem, nie odstraszały go najbardziej wyśrubowane ceny. W wielkim pałasie nowojorskim Central zajmował apartament sześciopokojowy, w którym najskromniejszem pomieszczeniem była jego własna sypialnia. Pomimo jego demokratycznego usposobienia i prostoty w stosunkach z ludźmi, niełatwo było się do niego dostać. W pierwszym pokoju pracowały stale trzy stenotypistki, w następnym jego pracownicy handlowi odbierali depesze z rozległych przedsiębiorstw szefa i wysyłali w świat jego zlecenia. W dalszych pokojach pracowała osobista sekretarka Blunna, trzydziestoletnia kobieta o szarej cerze i jasnych włosach, spokojna, cicha i wiecznie zapracowana. Dopiero z jej pokoju wchodziło się do maleńkiego, gustownie umeblowanego saloniku, gdzie na stołach poniewierała się prasa całego świata i wszelkich kierunków politycznych, a stamtąd dopiero do gabinetu Blunna. Oprócz wielkiego, zarzuconego papierami biurka, telefonu i kilku foteli nie było tam innych mebli. W pokoju panował niemalże półmrok, tak że nawet hrabia Itash, siedzący w tej chwili naprzeciw gospodarza niewiele mógł widzieć z poza nowych wielkich, japońskich okularów.

— Czy ma pan jakieś nowiny, przyjacielu? — pytał Blunna swym uprzejmym tonem.

— Szef naszej organizacji w San Francisco poleca mi czterech zaufanych ludzi do pracy. Jeden z nich, ogrodnik z Kalifornji jest mi dobrze znany. Ojciec jego służył kiedyś w naszej rodzinie.

Blunn kiwnął głową.

— Czy może nam się przydać?

— Tak jest. Umieściłem go już nawet w jednym z naszych oddziałów.

— Dobrze. A co pozatem?

— Nic nowego. Czy można zapalić?

— Proszę bardzo.

Dyskretnie obserwował swego gościa. Było coś szczególnego w jego powierzchowności. Miał zacięty i uparty wyraz twarzy, coś dzikiego w linji ust, oczy zbyt skośne i cerę nazbyt żółtą, jak na Japończyka przystało. Włosy były czarne jak węgiel. Chusteczka, którą trzymał w ręce była bardzo silnie uperfumowana, a papieros wydzielał jakiś mocny i duszący aromat.

— Panie hrabio — rzekł wreszcie — jest pan bezsprzecznie mądrym i rozsądnym młodzieńcem, ale ma pan jedną wielką wadę... lubi pan nazbyt kobiety.

Itash wyjął z ust papierosa. Był zdumiony, nie wiedział, jak ma zrozumieć uwagę gospodarza. Wreszcie odrzekł:

— W pana ojczyźnie lubi się piwo i dobre jedzenie, my zaś lubimy kobiety i kwiaty.

— Nie mam nic przeciwko temu, aby ...

... śliny i swoje ogródki ...

kiś kącik na dnie piekła. Proszę mi powiedzieć prawdę, czy zwierzał pan coś z naszych spraw tancerce Cleo z Monte Carlo?

— Przysięgam na prochy moich przodków, że z nikim na świecie nie rozmawiałem o naszej sprawie, a jeżeli chodzi o kobiety — były i są dla mnie zawsze miłemi zabawkami. Żadnej jeszcze nie traktowałem na serjo. To nie leży w naszych zwyczajach. Żadna z nich nie może znać najlżejszego cienia mych myśli, żadna nie zna drgnień mego serca, żadna, żadna.

— A czy pan wie, hrabio, że ta dziewczyna z Monte Carlo przyjechała tu, za panem do New Yorku?

— A cóż to ma wspólnego ze sprawą przez pana poruszaną? Była towarzyszką moich wolnych chwil, partnerką do zabaw, tańca i miłości. Znudziła mnie i wziąłem sobie inną, jak zmieniam napoje i potrawy. Była strasznie zazdrosna.

— Słucham pańskich słów i zrozumieć nie mogę, co pan uczynił ze swoją orjentalną mądrością. Ta dziewczyna z dancingu przyjechała za panem do New Yorku. Dwa dni temu odwiedziła wieczorem Granta Slattery i była u niego dwie godziny.

— To należy do jej zawodu.

— Tak pan myśli? To znowu pana orjentalna żyłka. Człowiek tego pokroju co Grant Slattery nie zabawia się z takiemi osóbkami. Niech pan słucha uważnie i może mi pan odpowie, czemu zaraz po jej wizycie odwiedził trzech dyrektorów trustu stalowego, z którym Japonja jest w stałym kontakcie. Cóż panu teraz podpowie pana wschodni rozum?

Na twarzy Blunna malowało się oburzenie, Itash natomiast był niewzruszenie spokojny i widać było, że absolutnie nie rozumie związku w rozumowaniu Blunna.

— Nie rozumiem zupełnie, co pana niepokoi, nie mogę pojąć, co Cleo może mieć wspólnego...

Blunn opanował się nieco, widząc bezradność swego gościa:

— Słuchaj pan — przerwał mu. — Należy pan do tych nielicznych ludzi, którzy wiedzą dobrze, że Japonja w ciągu ostatnich dwuch lat poczyniła w Ameryce trzykrotnie większe zakupy stali okrętowej, niż tego wymaga kontyngent przepisany przez traktat rozbrojeń. Cleo, pańska była kochanka zjawia się u Granta Slattery, a ten zaraz, nazajutrz, udaje się do znanego nam trustu stlowego.

— Nigdy nie poruszałem takich tematów z żadną kobietą — zapewniał Japończyk uparcie. Cleo nic nie wie i nie może o niczem wiedzieć.

— Hm... W takim razie zagadka pozostaje niewykryta. Lecz pan wie, czem grozi nam wykrycie sekretu?

— Tajemnica nie może być wykryta. Nikt nie wie, że każdy z naszych krążowników ma swego sobowtóra.

— W takim razie nie rozumiem znaczenia wizyty tancerki u Granta? Jednakże nie jestem zadowolony z pana przygód, hrabio. Najlepiej w obecnej sytuacji unikać kobiet. Wolałbym, żeby pan zbierał motyle.

— Nie zwierzam tajemnic kobietom tak, jak nie mogę ich zwierzać motylom. Dla nas to jedno i to samo. Poważne traktowanie kobiety zepsułoby nam zabawę.

Korneljusz Blunn uspokajał się powoli i odzyskiwał dobry humor.

— Hrabio, jada pan codziennie kolację z młodą osóbką z Cafe de Paris, w Folies Bergeres. Prawda?

Itash był nieco zdziwiony:

— Tak jest, stale, od pewnego czasu.

— Dzisiaj, hrabio, chciałbym zaprosić pana i jego towarzyszkę. Chciałbym z nią potańczyć i porozmawiać. Niech pan się nie obawia. Nie mam zamiaru pozbawić pana jego własności. A więc koło północy w Folies Bergeres. Ma pan tam stolik po prawej stronie w rogu, czy tak?

Itash nie potrafił ukryć zdumienia:

— Nigdy pana tam nie spotkałem — zauważył podejrzliwie.

— Bo też nigdy tam jeszcze nie byłem. Ale wiem wszystko o wszystkich w New Yorku.

ROZDZIAŁ XXXI.

Wieczór w Folies Bergeres był nader wesoły, choć pokrzyżował w pewnym stopniu zamiary Itasha. Jego towarzyszka przyprowadziła ze sobą młodą belgijkę, która dzięki nowym adoratorom i ekscentrycznym toaletom zyskała szybko sławę gwiazdy amerykańskich music hall'ów. Nazywała się Matylda Leroy i Itash chętnie zgodził się na jej towarzystwo, chcąc zarezerwować dla siebie pannę Yvonne. Blunn jednakże otoczył specjalną uwagą towarzyszkę Itasha ku rozczarowaniu panny Matyldy.

— Biedny Itash będzie bardzo zazdrosny — szepnęła Yvonne do Blunna, gdy po raz czwarty znaleźli się w tłumie tancerzy. — Matylda nie potrafi mówić o niczem więcej, jak o swych klejnotach i toaletach, znudzi go.

— A o czem pani z nim rozmawia?

Młoda dziewczyna westchnęła cichutko:

— O czem można mówić z takim człowiekiem, jak Itash? To dobry chłopiec, ale traktuje kobiety, jakby zupełnie nie miały duszy. Tak często marzyłam o przyjacielu, który byłby wybitnym światowcem i działaczem politycznym, aby mógł opowiadać mi o swych ambicjach, triumfach lub klęskach. O takim jak pan, naprzypład.

— Czy Itash nigdy nie mówi z panią o rzeczach poważnych?

— Nigdy, ani słowa — odparła z goryczą.

— Jak się pani zdaje, czy i z panną Cleo też nigdy nie prowadził rozmów poważnych?

— Oczywiście, że nie. Mam przecież tyle inteligencji, co Cleo, i w dodatku Itash wolał mnie zabrać ze sobą tu, do New Yorku. Człowiek wogóle nie jest tak szczęśliwy, jakby się wydawać mogło. Ten mój młody towarzysz jest tak milczący i ponury a przytem tak zazdrosny, że to męczy i nuży.

— A jednak przyjechała pani z nim tutaj!

Yvonne wzruszyła ramionami.

— Cóż miałam robić? Jest stały, nie flirtuje z innemi dziewczętami i na swój sposób jest hojny. Porzucił dla mnie inną dziewczynę, tak jak i ja go porzucę, gdy znajdę innego. Cóż robić? C'est la vie. Taki towarzysz jak pan, to byłby ideał dla każdej dziewczyny.

Siedzieli sami przy stoliku. Itash tańczył z Matyldą jakieś przeciągłe, zmysłowe tango. Panna ... pochyliła się w stronę Blunna i patrzała ... wyrafinowaną kokieterją?

... mnie pan?

... widzi pani... Nie chcę pani ... przyjaciel i dla tego bę-

Czy wiecie że...

✵

...liczba abonentów telefonicznych w r. 1927 wynosiła: w Stanach Zjednoczonych — 18 i pół miljona, w Niemczech — 2.800.000, w Anglji 1.600.000, w Kanadzie — 1.200.000, we Francji — 883.000, w Szwecji zaś tylko 466.800.

✵

...pewna amerykańska firma ustawiła na ulicach Berlina pierwsze automatyczne maszyny do czyszczenia obuwia. Wystarczy wrzucić niewielką monetę do automatu, aby szczotki maszyny poczęły się obracać i mechanicznie czyścić but.

✵

...dźwięki rozchodzą się w atmosferze gazu zwanego helem — dwa razy szybciej niż w zwykłem powietrzu.

✵

... budowano w New-Yorku, tej ... budowli, 37-miopiętrowy ... any jest przez ... się

dę z panią rozmawiał, jak ze słodką kobietką, która jednocześnie posiada dużo inteligencji i rozumu. Wspomnienie o pani będzie mi zawsze towarzyszyć wszędzie. Spoczywają na mnie jednakże pewne obowiązki dla mej ojczyzny. Póki nie ukończę mego dzieła, nie wolno mi myśleć o sobie. Jednakże, gdy dopnę celu, zacznę szukać panią i przypomnę jej dzisiejszą noc.

— Pan, igrając słowami, uczyni mnie nieszczęśliwą!

— Przeciwnie, chcę panią uszczęśliwić. Mam tu dla pani pewną niespodziankę, maleńki podarunek, o ile zechce go pani przyjąć?

Podarunek! to brzmiało dla niej tak zachęcająco. Spojrzała na śliczną szkatułkę, którą jej towarzysz trzymał w ręku. Wieko odskoczyło lekko i Yvonne ujrzała cudowne brylanty, oprawne w platynę.

— Ależ to prześliczne! — zawołała z zachwytem.

Blunn schował szkatułkę do kieszeni.

— Interesuje mnie w tej chwili pewna zagadka, którą może pani potrafi rozwiązać. Jeżeli pani mi dopomoże, to brylanty będą pani własnością, jeżeli nie będzie pani mogła mi dopomóc, to również poproszę o przyjęcie tej drobnostki.

Melodja tanga skończyła się. Itash ponury lecz grzeczny jak zwykle, powrócił ze swą tancerką do stolika. Matylda przypuściła atak do Blunna. Tańczyli kilka razy, aż wreszcie znów zmieniła się konstelacja i Blunn znalazł się sam na sam z panną Yvonne.

Wyjął znów z kieszeni obiecującą szkatułkę.

— Mam wrażenie, panno Yvonne, że pani zechce mi dopomóc w mojej sprawie. Chodzi mi o następującą kwestję. Hrabia Itash, który jest przecież człowiekiem honoru, zdradził, zdaje się, niechcący pannie Cleo jakąś nader ważną tajemnicę. Nie wiem, jak się to stało, ale jest ona w posiadaniu tego ważnego sekretu. Czy mogłaby pani pomóc mi w wyjaśnieniu tej sprawy?

Młoda dziewczyna zdrętwiała ze zdumienia. Nagle zaczęła kiwać głową i rumieniec pojawił się na jej twarzy. Wreszcie wybuchnęła serdecznym śmiechem. Położyła rękę na ramieniu Blunna i przysunęła się blizko ku niemu.

— Mon Dieu — wyszeptała — to przecież bardzo łatwe i proste. Sama słyszałam jakieś dziwne rzeczy, do których jednakże nie przywiązywałam najmniejszej wagi. Przez cały czas snu mówi do siebie, mówi i mówi bez końca, czasem gada tak całą noc.

Kosztowna szkatułka znalazła się nagle w jej ręku. Ukryła ją w torebce. Korneljusz Blunn siedział przy niej ponury i zamyślony jak Nabuchodonozor, zastanawiający się nad tajemniczem pismem. Trzydzieści lat jego pracy i wysiłków, skupiona praca dwóch narodów, ich myśli, plany i poczynania — to wszystko znalazło się nagle w wielkiem niebezpieczeństwie, dla tego... dla tego, że jakaś dziewczyna z dancingu zazdrosna była o kochanka.

(D. c. n.)

ALEKSANDER LIE.

Trema na estradzie

Co to jest trema? Czy wielcy, najwięksi nawet artyści zdołali się wyzwolić z tego uczucia? Oto szereg pytań, na które najlepszą odpowiedź znajdziemy w niedyskretnych zwierzeniach z życia mistrzów tonów i sceny, które zaczerpnęliśmy ze wspomnień pewnego amerykańskiego mistrza reportażu.

Jeśli więc chodzi o mistrza naszego Paderewskiego, to stosuje się do reguły nie ukazywania się na estradzie przed uzyskaniem w ciągu pewnego czasu, trwającego zwykle około 20 minut, niezbędnego dla artysty skupienia i spokoju ducha. Mistrz siedzi wówczas samotnie, w pokoju przeznaczonym dla artystów i dopiero po upływie tradycyjnych 20 minut zjawia się mister Joubert (słynny impresarjo) i pomaga artyście wydostać się na estradę. Pewnego razu Joubert zapomniał uprzedzić Paderewskiego, że na końcu korytarza, wzdłuż którego kroczył mistrz, znajduje się stopień. Znakomity pianista o mało się o niego nie potknął.

Zła wróżba! — pomyślał w duchu, wytrącony z równowagi Paderewski i wrócił do pokoju, w którym przesiedział jeszcze 20 minut.

Krótka ta pauza odgrywa niezwykle ważną rolę w życiu każdego prawie artysty. Jest to bowiem chwila, gdy nerwy wykonawcy znajdują się w stanie największego napięcia.

Jedni wypalają niezliczoną ilość papierosów, inni udają, że nic ich ta sprawa nie obchodzi, rozprawiają z rzyjaciółmi na najrozmaitsze tematy ...jerują się na estradę z nonszalancją, ...e godną zazdrości.

...o w danym wypadku ukuć jakąś teorję. Oto X nerwowo ... się po pokoju, głośno roz... ...obą, komuś wygraża, kogoś ...wa, robi straszne oczy... ... przykładać na czoło

I nie przestaje grać do ostatniej chwili. Dolna warga mu obwisła, pot wystąpił na czoło, chorobliwa bladość ukazała się na uduchowionej twarzy, lecz artysta po za swoim instrumentem nie widzi świata Bożego i wciąż gra, gra, gra...

Pewien skrzypek ćwiczy się powoli. Gubi tonację i usiłuje ją odnaleźć znowu. Wysiłek ten przychodzi mu nie bez trudności.

Primadonna kaszle, krztusi się, klnie niczem podchmielony żołnierz i przysięga, że niedyspozycja jej została wywołana nikczemnem postępowaniem bezwstydnej krawcowej, gdyż ona to właśnie odebrała jej możność osiągnięcia sukcesu. Teraz już niewiadomo, czy arja z „Carta Diva" przejdzie gładko, tembardziej, że na sali czyha złośliwy krytyk M., który tylko szuka sposobności, aby zmniejszyć jej wartość w oczach uwielbiającej śpiewaczkę publiczności. Zuchwalec — niedawno boskie jej trele porównał... z młynkiem od kawy.

Cóż to za straszliwe uczucie ta trema! Nawet najświetniejsi nie mogą jej się oprzeć.

Jan Reszke bezsilnie wlókł się na scenę, blady i drżący, aby tu dopiero roztoczyć swój magiczny czar i wstrząsnąć publiczność niezrównanem wykonaniem roli boskiego Lohengrina.

Mistrz Rubinstein gra przed wypełnioną po brzegi salą, swój własny, fortepianowy koncert. Zgrzany, zdyszany pianista w środku kadencji, zapomniawszy tonację, szuka po omacku ratunku, niemiłosiernie fałszuje, przeklina dzień swego urodzenia i bezsilnie spogląda w stronę złośliwie uśmiechającego się dyrygenta. Napięcie dochodzi do zenitu. Lecz oto dyrygent Muck głośno podpowiada: „D-dur" Sytuacja zostaje uratowana i Rubinstein odzyskuje równowagę.

Głośny w swoim czasie pianista Safonow, czaruje widownię boskiemi dźwiękami koncertu c-moll Mozarta. Na sali cisza— jak makiem zasiał. Zachwyt publiczności nie ma granic. Wtem Safonow rozpaczliwie woła — „Nuty, nuty! Zapomniałem..." Powstaje zamieszanie. Ktoś biegnie do pokoju artystów po nuty. Koncert trwa dalej, lecz czar już prysnął bezpowrotnie i poprzedniego nastroju odzyskać nie zdołano.

Do ulubieńców amerykańskiej publiczności trzeba oprócz Paderewskiego zaliczyć Hoffmana, Godowskiego, Giesekinga, Lewickiego i Pachmanna.

Najciekawszym z tej grupy jest bodaj Pachmann i to nie dlatego, że jest lepszym pianistą od pozostałych, lecz dlatego, że jego grze towarzyszą zawsze nader ekscentryczne, budzące wprost sensację wybryki.



Ludziska świetnie się bawią i tłumnie przebywają na koncerty tego ultra oryginalnego, artysty.

Pachmann nie gra zgodnie z ustaloną tradycją, nie idzie za przykładem innych pianistów, lecz często czyni na opak i postępuje według własnego widzimisię.

Jeżeli w danym urywku muzycznym wszyscy pianiści zwykli miotać gromy, Pachmann w tem samem miejscu stara się przekonać publiczność, że chodzi tu o lot motylków lub o cichy szept powolnego strumyka.

I co najważniejsze — nie znał uczucia tremy..

Ostatnie dzieło malarza Krzywińskiego

(Dalszy ciąg ze str. 17-ej).

— A... — Krzywiński nagle znieruchomiał. Twarz mu pobladła i oczy mimowiednie pobiegły w stronę lustra; lecz tafla jego była cicha i skrząca, i jako zwykle, nieruchoma i pusta.

— No, cóż to panu? Tak pan dziwnie pobladł!

— Nic, nic. Tylko nie wiem, czy to sen, czy jawa...

— Ależ co? — Strzeliński był już rzeczywiście zdziwiony i zaniepokojony.

Krzywiński usiadł obok niego na kanapie, wyciągnął nogi wygodnie i wtył odrzucił głowę:

— Zaraz, zaraz, kochany panie. Oczywiście to, co mnie wczoraj spotkało, było co najmniej fantastycznie dziwnem. Tak, tak. Głowa mnie okrutnie boli...

— Ależ pan jest chory, pan ma gorączkę. Pójdę po doktora.

— Ależ, po kiego licha mi tutaj doktór? Nie jestem chory, jestem tylko strasznie podrażniony. Teraz panu nic nie powiem, bo istotnie... Ale wieczorem w kawiarni...

— Hm... jak się panu podoba. Bardzo jestem ciekawy. Ja też chciałem panu powiedzieć nowinę.

— O, proszę. Mów pan!

— Żenię się.

Było to coś tak nieprawdopodobnego, że Krzywiński roześmiał się mimowoli: — Pan?!

— Ja! We własnej osobie!!

— Niech pana kule biją! Ha! ha! ha! Ależ to niesłychane! Dobry żart tynfa wart. Stawiam panu dziś czarną kawę i pięć ciastek z kremem!

— No, jak mnie pan tu widzi! Jak Boga kocham! Serjo! Poważnie! Nieodwołalnie! Panie — bronił się Strzeliński prawie zmieszany — zakochałem się i oświadczyłem już trzy lata temu! Milczałem, bo to rzecz doprawdy niesłychana! Panie, co to za kobieta!

— No, dosyć! Nie blaguj pan. Jestem już rozweselony wystarczająco.

— Oświadczam panu, że mówię poważnie, do djabłów stu! Żenię się. Za tydzień. Jutro wyjeżdżam. I wrócę dopiero w maju, zrozumiano? Jedziemy do Włoch.

— Eh! Serjo?

— No!

— Toś mnie pan zmartwił — nieoczekiwanie skrzywił się malarz — był porządny chłop, kawaler, przyjaciel, jak się patrzy, i masz! Żeni się. Zostanę sam.

— Furda, panie. Mój dom będzie pańskim domem.

— Aha. Jak się ożenisz, to się odmienisz.

— No, po knajpach się włóczyć już nie będę, ale przyjaźń przyjaźnią.

— Tere - fere! Zdradzasz mnie pan!

— Takiś pan i przyjaciel! Myślałem, że choć jeden szczęścia będziesz życzył...

— Ależ życzę panu szczęścia z całej duszy! Bądź pan szczęśliwy za pięciu, dziesięciu, dwudziestu ludzi! Życzę panu dwunastu synów i tyleż córek i...

— No, no! Panie!

— A cóż? Jesteś pan przecie zakochany jak student.

— Zakochany?! Jestem zachwycony, oczarowany, szalony! Panie, pan nie wie, co to za kobieta!

Pierwsze moje uczucie, to było uczucie bezgranicznego zachwytu. Pomijam to, że jest niezwykle wykształconą, pomijam to, że jest poprostu Afrodytą, lecz, panie, to jest kobieta niebywała!

— No, no...

— Aa tak. Zresztą już wiem, co panu powiedzieć, żeby pana ostatecznie udobruchać!

— Tylko bez blagi.

— Bez blagi, jak Boga kocham!

— No?

— Jest namiętną wielbicielką pańskiego talentu.

— Et!

— Nie et, a tak. Mówi o panu z takim zachwytem, że mnie często djabli brali. Posiada kilka pańskich obrazów w oryginale, a reprodukcyj tysiące. Wszystkie pisma i artykuły o panu. Multum zdjęć fotograficznych. I marzy o tem, by pan namalował jej portret.

— Ha, może i namaluję.

— Napewno nawet, bo ona tak chce. Ale przy mnie...

— Jakto?

— Morze czarnej kawy i zatokę likieru z panem wypiłem, to pana znam. Jeszczebyś mi pan rogi przyprawił.

— Może.

— A niedoczekanie!! Za rok będę miał syna. Potrafię kobietę utrzymać.

— Ha! ha!

— Mów, powago!

— Mój ślub w Krakowie, za tydzień. Jedziesz pan ze mną, czy nie?

— Z pana był zawsze warjat! Trzeba mi to było trzy tygodnie temu powiedzieć...

— A jakże! Sam nie wiedziałem. I przecież tego mi pan nie odmówi...

— A muszę. Zobowiązania mam. Za miesiąc tak, ale teraz niemożliwe.

— E, malarzu!

— Serjo panie. Chociażbym się upił z przyjemnością na pańskiem weselu

— Doprawdy?

— No, przecie!

— Dajcie pyska!

Wyściskali się i ucałowali serdecznie. Krzywiński obiecał stawić się na dworcu, obiecał nawet, jeśli to tylko będzie możliwem, przyjechać do Krakowa. Ale zaraz po wyjściu Strzelińskiego zapomniał o wszystkiem, i poddał się znowu drażniącemu, dziwnemu niepokojowi. Co chwila nieufnie spoglądał w stronę lustra, aż wreszcie przeszedł do pracowni i położył się na otomanie. Wspomnienie wczorajszej wizji opanowało go zupełnie, i nie mógł już myśleć o czem innem.

Przecież to było piękne! Te cudowne oczy wświeciły się w jego duszę, i blask ich gorący rozpalił w sercu płomień. Dreszcz dziwny, dreszcz roskosznie dręczący niby prąd żywy obiega jego serce, i serce to bije tym samym rytmem, jak niegdyś, jak niegdyś, przed laty. A dawno to było, dawno...

Lecz tamta, z przed lat, miała czarne oczy i w oczach tych niegdyś wyczytał podłą zdradę. Pękła tęczowa nić marzenia, rozbiła się wonna czara młodzieńczych uniesień. Już od tego czasu nie wierzył Krzywiński w miłość, kochał tylko swoją sztukę, a na kobiety patrzył jako na modelki, lub, co najwyżej, kilkodniową przygodę. Jego serce, serce dumnego, wytrwałego artysty, serce zamkniętego w sobie samotnika, pozostawało chłodne i spokojne, i nie drżało już nigdy pod wzrokiem kobiety.

A jednak czasami tęsknił...

I oto teraz — niewiadomo czy pod wpływem nowiny Strzelińskiego — uczuł znagła zupełną swoją samotność. Cisza, dzwoniąca mu w uszach, rozdrażniała go niewymownie, a wspomnienie wczorajszej wizji prądem żywym obiegało serce.

Pomyślał znowu:

Jakaż ona cudna! W jej oczach świat blasków i marzeń, na jej ustach śni nieznane szczęście. Białe ramiona mogą ściskać i tulić, głos jej zabić przeklętą tęsknotę!

Przecież jej niema — przypomniał rozsądek.

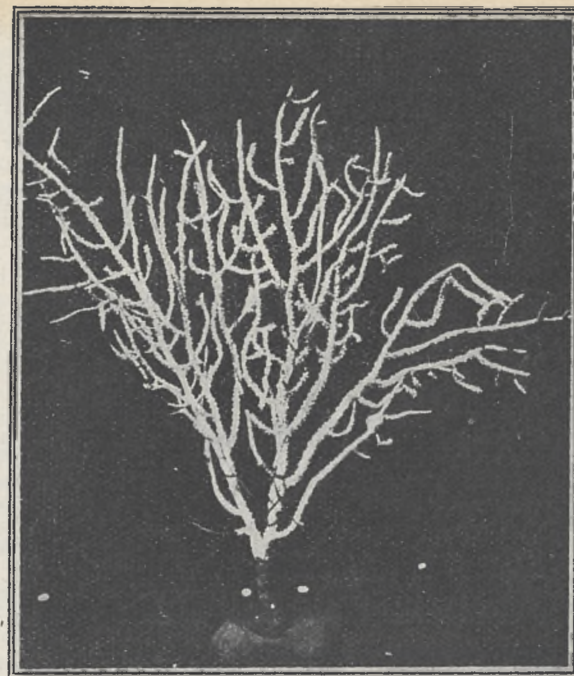
Jakto niema?! — odpowiedziało marzenie. — Była tu wczoraj! A skoro była, to znaczy, że jest tylko moja!

Przyjdzie godzina szczęścia, jak uniesień
Młodych powrotna, mknąca szumnie fala!
W różaną wiosnę zamieni się jesień,
W płomień to serce, co się dziś użala!
I usta twoje na ustach jej spłoną,
Serce przy sercu krwią swą oszaleje!
Te oczy w oczach na długo utoną
I zmartwychwstaną najśmielsze nadzieje!
Bo przyjdzie wtedy, kiedy serce twoje
Wierzyć przestanie, że przyjdzie! — I oto
Ty, coś pił dotąd tęsknoty napoje,
Wypijesz miłość czarą szczerozłotą.
Co, skąd to? Dlaczego?

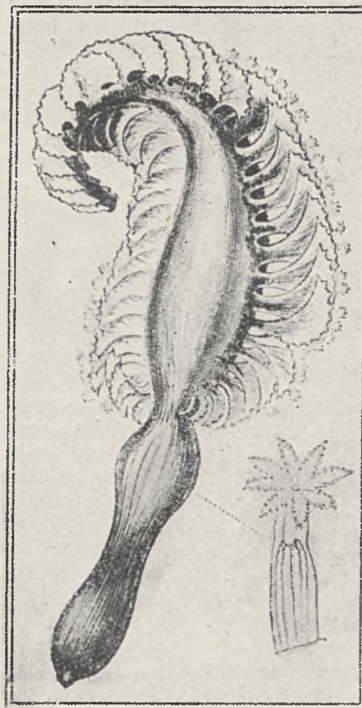
(D. c. n.)

Korale z wybrzeża Dewon w Anglji

W kształtach i sposobie życia roślin i zwierząt, zamieszkałych naszą planetę, istnieje ogromna rozmaitość form, tak ogromna, że przechodząc obok niej codzień, zapominamy o jej oczywistości. A przecież ileż to tysięcy miljonów gatunków i odmian mamy—od stustopowego wieloryba aż do istot tak małych, że można je widzieć tylko pod mikroskopem. Nie mówmy już o roślinach — ale jeżeli wziąć pod uwagę same tylko zwierzęta, to okażą się ciekawe rzeczy. Samych odmian żuków mamy 150.000 sklasyfikowanych i dokładnie opisanych; samych motyli, fruwających na ziemi znamy już 13.000 gatunków, a to jeszcze nie wszystko i entomologowie codzień prawie bogacą ten zapas o nowe jakieś, jeszcze nauce nieznane okazy. A czyż mało jest odmian ryb, ptaków i ssaków? Możnaby utworzyć cały olbrzymi, z tysięcy tomów złożony słownik nazw zwierzęcych. I każdemu, kto choć trochę głębiej zainteresował się zoologją i biologją, ciśnie się na usta pytanie—skąd się wzięło życie i czem ono jest. Dlaczego objawia się w tylu mirjadach form, które tylko mnożyć można i poznawać, ale istotnej ich przyczyny nie sposób sobie wytłumaczyć. Boć przecież teorja ewolucji, przystosowania organizmów do walki o byt, na wszystko nie może dać odpowiedzi. Istnieje inna jakaś siła przemożna, która stwarza uderzające typy i subtelne różnice między niemi, ani do walki o byt nie nadające się, ani zbyt wyraźnie ulegające ewolucji. Tem niemniej należy badać tę dziedzinę. Wciąż nowe wiadomości pozwalają poznawać tajemnicę życia, a zresztą nie wiemy jeszcze, do jakich celów użyć się dadzą dla korzyści człowieka organizmy. Może obok hodowli kur, gołębi, strusi i ostryg, zaczniemy „oswajać" inne, drobne a pożyteczne żyjątka?



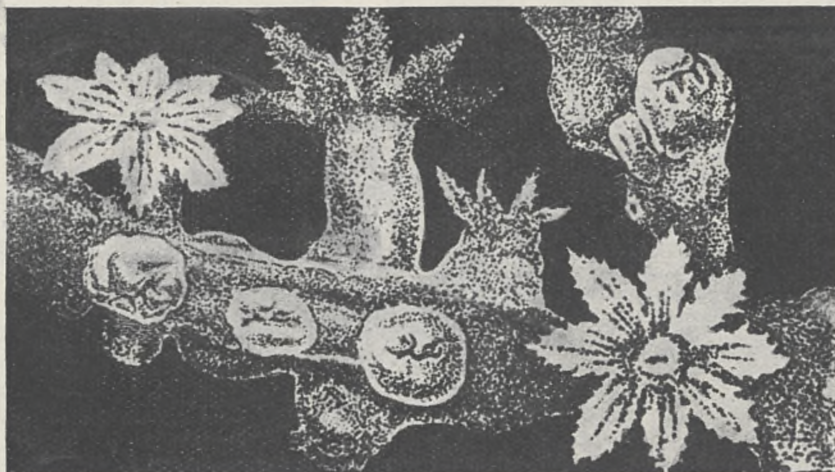
Zwierzę, którego „gałęzie" są napełnione tkaniną-szkieletem korala wachlarzowego (gorgonella verrucosa). Za życia gałęzie tee są wypełnione tem, co można określić, jako cienkie morskie anemony, chociaż wszystkie jednostki są częściami wspólnej kolonji. Są one z materji rogowej, przyczem rozpoznać można siedliska poszczególnych jednostek-zooidów.



Pióro morskie (pennatula), organizm, którego łodyga przedstawia założyciela kolonji zooidów. „Pióra morskie" przedstawiają cały szereg odmian co do formy i wielkości.

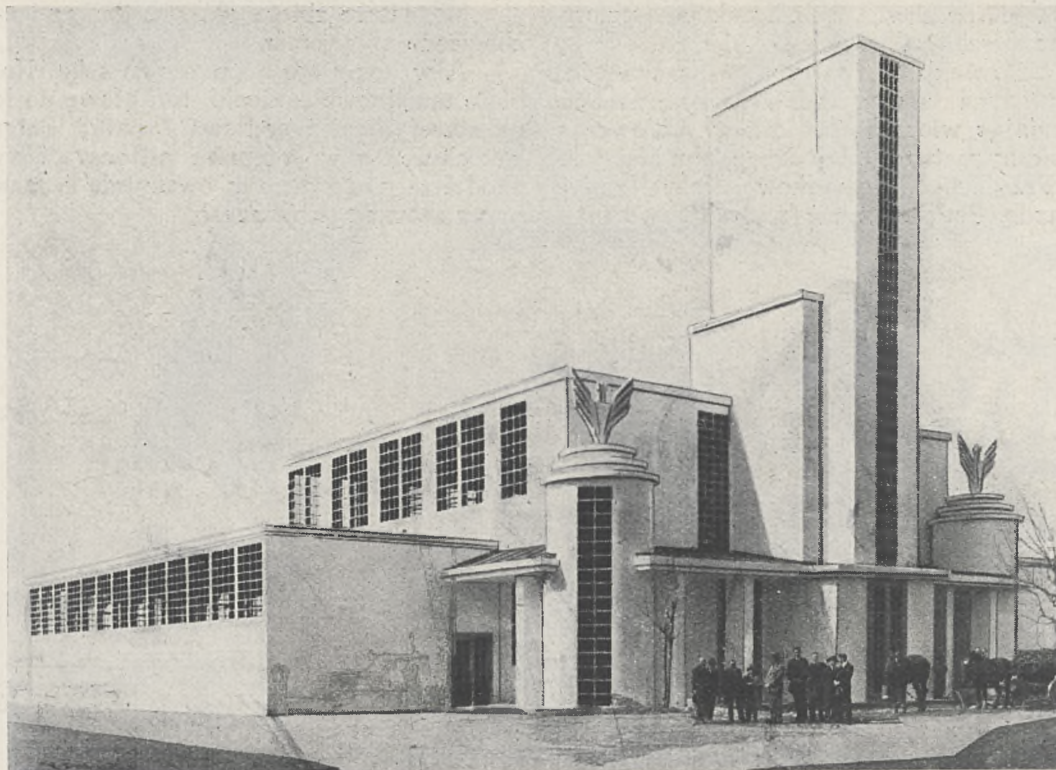
Fauna lądowa jest jednak lepiej znana, niż fauna mórz i oceanów. Ale tu właśnie występuje tak ogromna fantazja natury, tyle barw i kształtów, że morze, jego dno i głębia, przedstawiają się nieraz, jak barwny ogród, gdzie zamiast kwiatów rozwijają się zwierzęta, posiadające członki, podobne liściom, łodygom i koronom. Dla przykładu weźmy korale, należące do rodziny coelentera. Zbudowane nakształt roślin, mają one mięsistą łodygę, zakończoną u góry otworem chłonnym, od którego wkoło rozchodzą się długie, zwinne czułki. Posiadają one żądła obronne, służące do odstraszenia wroga i sparaliżowania oporu schwytanego żyjątka, służącego za pokarm. Podobne są z układu do naszej słodkowodnej hydry, ale z tego pierwotypu ileż wywodzi się odmian? Wszelakie anemony, korale kamienne, których stwardniałe szkielety tworzą rafy całe, cenne korale czerwone i inne jeszcze, z których jeden typ, pospolity u brzegów Anglji, nosi dzięki swemu kształtowi nazwę „palce trupa".

Z istniejących czterech zasadniczych typów korali, podajemy na rycinach trzy. Pierwszy to sea-pen, pióro morskie, którego kulista łodyga odgałęzia się we wszystkie strony zooidami, uderzająco przypominającemi pióro. Pień zanurzony jest w mule i nie widać go, a tylko „pióra" chwieją się w wodzie. Darwin, który, jak wiemy, szczegółowo badał życie tych polipów, spotykał je, czasem tak gęsto skupione, że robiły wrażenie pola kwiatowego, zalanego wodą. Kiedy jednak, prowadząc badania, podrażnił większą kolonję korali, całe „pole" znikało pod wodą, chowając „pióra" w muł. Drugi gatunek, t. zw. korale wachlarzowe, mają jeszcze ciekawszą budowę, żyją one jużto wolno, jużto łączą się w kolonje. Każda nowa kolonja powstaje zwykle przy jednym polipie-założycielu, który wylągł się z barwy, dorósł i uczepił się dna. Najbliższe koralom wachlarzowym są gorgonje z zatoki neapolitańskiej, które mają gruby pień szary, koronę jasno czerwoną.



Raczej piękne kwiaty, niż zwierzęta. Części korala wachlarzowego. Oddzielne zooidy żyjącego korala wyglądają raczej jak kwiaty, niż jak zwierzęta. Macki są spłaszczone z rozszczepionemi krawędziami, wprawdzie podobnemi do nitek, ale nie różniącemi się od typowych anemonów.

TO, TAMTO I OWO



Pawilon polski na międzynarodowej wystawie w Liège, która została niedawno otwarta

FULTOGRAFJA W OBŁOKACH.

Zaledwie pięć miesięcy upłynęło, jak narodziła się ta najmłodsza, a już tak niezwykle pożyteczna gałąź fizyki — gdyż oto mamy już pierwsze poważne rezultaty praktycznego zastosowania fultografji do kierowania zbłąkanym, narażonym każdej chwili na roztrzaskanie, aeroplanem. Niezwykle ciekawy ten eksperyment naukowy, o którego praktyczne wcielenie w życie stara się obecnie już aerodynamika każdego państwa, odbył się w okolicznościach następujących.

W pierwszych dniach października r. ub. na lotnisku niemieckiej „Lufthansy" w Tempelhofie pod Berlinem dokonano po raz pierwszy prób nadawania obrazów z ziemi do aeroplanu, szybującego w powietrzu. Doświadczenia te czynione były za wzajemnem porozumieniem, zawartem między Niemieckiem Towarzystwem Fultograficznem a berlińską radjostacją nadawczo-odbiorczą „Funk-Stunde". Doświadczenia poprzedził odczyt, który dr. Sschidt-Reps, profesor Wyższej Szkoły Technicznej w Hamburgu, wygłosił przez mikrofon na temat „Radjo i lot". Prelegent wyjaśnił cele i zadania ścisłej współpracy pomiędzy temi dwiema dziedzinami techniki i między innemi powiedział: „Zadaniem dzisiejszych pokazów będzie unaocznić, jak można z ziemi przesyłać pilotowi pewne potrzebne mu obrazki. Naturalnie nie będą to obrazki w ścisłem tego słowa znaczeniu, lecz coś, co będzie pilotowi niezbędnie potrzebne, a więc: mapy meteorologiczne, szkice sytuacyjne portów lotniczych i t. p. Obrazy nadawać będzie radjostacja Witzleben, którą na ten cel oddała do dyspozycji berlińska Funkstunde. Jako aparat odbiorczy służy specjalny radjoodbiornik lotniczy konstrukcji znanej fabryki Telefunken, taki sam, jaki bywa umieszczony w samolotach komunikacyjnych, posiada tylko dodatkowy aparat tak zwany fultograf, połączony z odbiornikiem.

Podczas pierwszego wzlotu posyła się pilotowi mapę meteorologiczną. Jeżeli samolot odbyć ma naprzykład drogę z Berlina do Kolonji, pilot od jednego rzutu oka już wie, w których stronach spodziewać się może korzystnego wiatru, jakie są granice zachmurzenia, i t. p. Słowem, jak układają się warunki atmosferyczne w strefach, przez które przelot będzie się odbywał.

W następnej wysyłce pilot otrzyma mapkę posuwania się burzy z zachodu na wschód. Z mapki tej dowiaduje się pilot o szybkości, z jaką się burza posuwa i o miejscu, w którem prawdopodobnie wypadnie mu ją spotkać, a też gdzie są miejsca najsłabszego nasilenia burzy i czy są możliwości przeloty przez te strefy. Trzecia przesyłka zawierać będzie mapkę portu lotniczego, na którym jednak deszcz ulewny być może uczynił pewną przestrzeń nienadającą się do wylądowania. Nie potrzeba chyba dodawać, jak ważną rzeczą jest dla pilota tego rodzaju szkic lotniska. Takiego szkicu plastycznego, żadna nawet najdoskonalsza mapa nie zastąpi, a nadać ją można pilotowi tylko za pomocą fultografu".

Prócz wielkiej liczby różnych dostojników Rzeszy Niemieckiej obecni byli prawie wszyscy studenci wydziału aeronautyki na Politechnice Hamburskiej, którzy wraz ze swym profesorem - prelegentem udali się na wycieczkę objazdową i zwiedzali ważniejsze centra przemysłu niemieckiego.

Pewna liczba uczestników tej wycieczki miała możność odbycia szeregu próbnych wzlotów na wielkim trzymotorowym aeroplanie „Junkers", gdy tymczasem stacja Witzleben nadawała obrazy, chwytane i utrwalane natychmiast przez fultograf.

Wszyscy uczestnicy tych naprawdę niezwykłych eksperymentów rozjeżdżali się powoli do swych siedzib, uwożąc głęboką cześć dla mózgu ludzkiego i to wielkie przeświadczenie, że dzięki temu niezwykłemu wynalazkowi wkroczyliśmy w nową erę, prawdziwie złotą erę rozwoju lotnictwa, gdy widmo katastrofy lotniczej przestanie ciążyć nad rozkwitem międzynarodowej komunikacji i pokoju wszechświatowego.

Wśród książek

Biskup Doktór Władysław Bandurski. — Krwi Ofiarnej — Cześć. — Warszawa 1928. — Wileński Komitet Obchodu 40-lecia Pracy Kapłańskiej i obywatelskiej Jego Eksc. Księdza Biskupa Doktora Władysława Bandurskiego. — Na składzie w Głównej Księgarni Wojskowej i w Domu Książki Polskiej w Warszawie. Str. 193 + 21 nlb.

Ta książka, pięknie i starannie wydana, ma znaczenie dokumentu historycznego. Ks. Biskup Bandurski jest bowiem nietylko natchnionym mówcą - kapłanem, ale także gorącym patrjotą i wielkim obywatelem, którego głos w ważnych dla narodu chwilach rozlegał się silnie i zawsze budził miłość ojczyzny w sercach. W jego kazaniach przemowach i listach odzwierciadlają się wypadki lat wojny i w sposób niezwykle charakterystyczny i oryginalny, przepojone silną i kryształowo czystą indywidualnością i serdeczną miłością czcigodnego Kapłana. Cechy tej indywidualności to cechy wzniosłe i szlachetne: a więc przedewszystkiem najszczersza, głębcka religijność, odczucie bohaterstwa, niezmienna energja młodości, zawsze dążąca tam, gdzie jest życie, ruch, walka ze złem, i wreszcie ogromne zrozumienie i poczucie obowiązku obywatelskiego. To też wszystko, co Ks. Biskup Bandurski napisał czy wypowiedział zawiera w sobie wiecznie żywe prawdy moralne i ten wysoki ton myśli i uczucia, który umie na wielkość wskazać i wielkość wyzwolić.

Miłosz Gembarzewski — Pieśni Słowianina — Warszawa 1930. — Nakładem Księgarni F. Hoesicka. — Str. 45 + 2 nlb.

P. M. Gembarzewski chce być poetą oryginalnym. Idzie przeto własnemi drogami, wyrąbuje sobie nowe ścieżki, i czyni to nietylko z wytrwałością, ale i z niezaprzeczonym talentem Lecz utwory jego są bardzo trudne. Odczytanie ich i zrozumienie wymaga czasu i wysiłku. I dopiero wtedy, kiedy je drugi, trzeci raz czytamy, wyławiamy ich niezwykle często piękno i niezwykłą barwę („Pas Lity", „Sad Boży"). Niestety jednak przesadzona, naszem zdaniem, obawa przed brakiem oryginalności, która niewątpliwie hamuje i zniekształca szczere wybuchy serca i myśli i rytmu, często psuje poecie piękno pomysłu i nasuwa niezbyt szczęśliwe wyrażenia i porównania. („Klątwa"). Wszystkie te jednak trudności — takie mamy wrażenie — p. Gembarzewski szybko przezwyciężyć może. I niewątpliwie przezwycięży. Ma bowiem ku temu dwa najważniejsze środki: wolę pracy i talent.

ZOFJA DROMLEWICZOWA.

Encyklopedja filmowa w.

„WAMP" KABARETOWY.

Słodkie i niewinne dziewczę, które dawniej zajmowało się ogrodnictwem.

Na scenę dostaje się tancerka kabaretowa zawsze niespodziewanie. Oto nie podejrzewając, że za chwilę cały jej los ulegnie zmianie, młoda, piękna dziewczyna tańczy samotnie na wąskiej ścieżynie lasu.

I już po chwili, z za krzaków, wyziera twarz dyrektora wielkiego kabaretu.

Człowiek ten patrzy w zachwycie. Dziewczyna tańczy, dalekiem spojrzeniem ogarniając wierzchołki drzew. Wówczas dyrektor zastępuje jej drogę. Przedstawia się. Przyjechał przypadkowo. Uczyni z niej gwiazdę. Podpisać chce kontrakt.

Rozmarzona dziewczyna podpisuje umowę wiecznem piórem i zostaje tancerką.

W teatrze zbiera oklaski, dolary i zachwycone spojrzenia.

A w domu staje się znowu sobą. Nosi białe muślinowe sukienki, tuli głowę do łona starej niani i podlewa kwiatki. Potem zakochuje się w jedynaku miljonera i wychodzi za niego za mąż, owacyjnie żegnana przez zebraną publiczność.



(fot. Fox)

„7 DNI" WYCHODZI CO CZWARTEK W WARSZAWIE — KRAKOWIE — POZNANIU — LWOWIE i WILNIE

Prenumerata kwartalna: 5.50; półroczna 10.50, roczna 20 zł. wraz z przesyłką. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Marszałka Focha 2. Telefon 525-85. Konto P. K. O. 19-447. Przedstawicielstwo na Francję: L. Sładowski, 98 Bd Blanqui, Paris, XIII.

Administracja nie przyjmuje zastrzeżeń w sprawie lokowania ogłoszeń i nie odpowiada za terminowy ich druk.

Ceny ogłoszeń: cała strona zł. 1 200, ½ strony zł. 600, mniejsze podług ilości milimetrów. 1 m/m 1 szpaltowy zł. 1,50, układ 3-szpaltowy.

Klisze ogłoszeniowe zajmujące więcej niż szerokość 1 szpalty są liczone jako dwuszpaltowe, zaś więcej niż dwie szpalty — jako 3 szpaltowe.

Ogłoszenia dwubarwne o 50% drożej.

Redaktor naczelny przyjmuje interesantów w lokalu redakcji w środy i piątki od godz. 17 do 19-ej. (Oprócz dni świątecznych)

Redaktor naczelny: EUGENJUSZ RAFALSKI Kierownictwo: BOLESŁAW KARNISZYN Wydawca: BOLESŁAW KARNISZYN i S-ka z ogr. odp.

Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12.